Miesięcznie 95 groszy
prenumeratę przyjmuje każda poczta.

1 egz. 30 groszy.

Moje Powieści

ILUSTROWANY TYGODNIK DLA WSZYSTKICH

Rok III. Niedziela, dnia 8 września 1935 r. Nr. 36.



Życie -- to podróż...

Życie, to podróż — najczęściej w Nieznane —
Trzeba ją umieć wygodnie urządzić:
Wnet zapominać stacje wciąż mijane
I nie cofać się, wkrąg nie błądzić.
— — — — — — — —
Przedstawicielki dwóch wieków w dal patrzą,
Myśląc w zadumie, która z nich wygodniej
Przez swego życia drogę szła tułaczą?..
— Trudno losy ich porównać, uzgodnić,
Choć stacje może nawet są te same...
Dawniej wolniejsze było tempo życia,
Na stacjach dłużej się zatrzymywano —
Głębsze i trwalsze były więc przeżycia.
Dziś podróż zato bogatsza w wrażenia,
I niespodzianek więcej w sobie chowa.
— Dwa wieki dzieli toń nie do niezgłębienia,
Podróż przez życie zawsze inna, nowa...

Danuta Wyrybkowska.

MARJA REUTT

Pani Gabrynia

17)

Lipiec.

Staszek wyjeżdża nieodwołalnie i serce mi nie pękło, chociaż tak bardzo boli.

Pojawił się u mnie i prosił, byśmy wyszli do parku.

— Nie mogę tu przecież rozmawiać z koleżanką — rzekł niecierpliwie, wskazując głową na dwa parawany, za któremi rozlegał się szelest.

Włożyłam kapelusz i wyszliśmy. W parku, w ustronnym zakątku, bez żadnych wstępów i kwiecistych omówień, w słowach prostych, głosem lekko drżącym prosił mnie, bym została jego żoną. Mówił, że wyjeżdża do legjonów włoskich, a stamtąd do Francji lub Polski, zależeć będzie od okoliczności. Chce, byśmy wzięli ślub zaraz, za dni parę, przed jego wyjazdem.

Słońce padało na niego, gdy tak stał odwrócony plecami do alei, oświetlając jaskrawo jego smukłą, zręczną postać i szlachetną twarz o rysach nieładnych, ale rasowych i regularnych.

Hrabia, bogaty obywatel, przyszły właściciel rodowych dóbr, człowiek zacny i dobry w każdym czynie i odruchu i ja, skromna szlachcianka, ni ładna, ni bogata.

Wychowana jestem w dostatnim domu opiekunów, przywykła do wygód, bogactwo pociąga mnie, ma urok nieprzeparty, ale w tym wypadku, gdybym go była przyjęła, to i uczucie odegrałoby dużą rolę.

— Kocham go! Może nie tak namiętnie jak opisują miłość nowocześni pisarze, ale uczucie moje jest szczere i głębokie.

A mimo to odmówiłam mu...

Odszedł z twarzą pobladłą i posmutniałemi oczami, a z nim odeszło ode mnie życie dostatnie bez troski, stanowisko w świecie, możność dalszego kształcenia się i dalekich podróży przy boku kochającego, dobrego człowieka.

Nie mogłam postąpić inaczej, nie mogłam napisać temu biedakowi za kratami, że idę za innego, że odwracam się od niego, dalekiego, bezbronnego kaleki, że zostawiam go jak tamta na pastwę złych myśli i zwątpienia.

Gdyby on targnął się na życie, gdyby sobie zrobił coś złego, jego trup stanąłby na zawsze między mną, a szczęściem.

Czułabym się morderczynią, jak gdybym go własnoręcznie zabiła.

Jego cień prześladowałby mnie życie całe, szedłby krok w krok za mną, siadałby w nocy u mego łóżka.

Więc choć serce rwie mi się w kawałki, pozwoliłam odejść swemu szczęściu, patrzyłam jak ono oddalało się ode mnie, ociągając się i odwracając w mą stronę. A mimo to nie wyciągnęłam za nim ramion, nie zawołałam „wróć", chociaż dusza płakała mi z bólu.

I Staszek cierpi, ten mój najdroższy, wierny przyjaciel i kolega, ale on jest w innych warunkach. Ma możność oderwania swych myśli od bolesnych rozmyślań, ma możność uciszenia serca, zapomnienia o mnie. Tyle jest wśród jego znajomych miłych i ładnych dziewcząt, gotowych iść za nim, na jego skinienie, ufnych, że będzie im z nim dobrze. I nie zawiedzie się ta wśród nich, którą on wybierze.



Jest w Jugosławji taka wioska, gdzie większość ludności stanowią dziwnem zrządzeniem losu niewidomi. Ostatnio w wiosce tej odbył się ślub. Oboje państwo młodzi byli niewidomi. Do ślubu towarzyszyli im niewidomi drużbowie, a ślubu udzielał niewidomy ksiądz. Nasze zdjęcie przedstawia właśnie ten niecodzienny ślub

Ale tamten biedak obezwładniony, zapomniany, samotny, upokarzany i skrzywdzony.

— Nie... nie mogę..

Mówią, że war krwi, że miłość jest silniejsza ponad sumienie i poczucie uczciwości, że wobec miłości nic się nie leczy, ale ja myślę, że mówią to tylko ci, którzy tego sumienia i tego poczucia uczciwości i etyki nie mają i nigdy nie mieli.

Jeżeli zdarzy się, że ktoś ukradnie coś dla ukochanej kobiety, nie znaczy to, że miłość zabiła w nim uczciwość; poprostu miał on żyłkę złodziejską we krwi i ta otrzymawszy podnietę w postaci pragnienia obdarowania kochanej kobiety i w braku wspojonych podstaw moralnych, poszedł i ukradł, lub dopuścił się oszustwa .

Sierpień.

Staszek wyjechał. Utworzyła się koło mnie pustka i samotność. Coraz mi ciężej. O końcu wojny ani słychać. Biją się pod Verdun dzień i noc. To już nie walka, a poprostu rzeź. Niemcy podobno wymyślili jakąś niesamowicie dalekonośną armatę, którą bombardują Paryż na odległość kilkudziesięciu kilometrów.

Aż dziwnem się wydaje, że może istnieć kraj ciszy, dobrobytu, leniwego spokoju nie podlegający żadnym wstrząsom pomimo iż dokoła niego ze wszystkich stron wrą walki na śmierć i życie, pękają pociski, latają aeroplany ze śmiercionośnemi bombami, unoszą się opary gazów trujących, drży ziemia, huczy powietrze.

Nie jadam kolacji, bo inaczej nie mogłabym wysyłać paczek częściej, jak raz na miesiąc.

Od opiekuna nie otrzymuję żadnych wiadomości, a tu pieniądze topnieją jak lód.

Pracuję teraz w Uniwersytecie jako asystentka i w kinie. I tu i tam przy obecnej drożyźnie i wysokiej wartości franka, płaca jest bardzo niska.

Listopad. 12-y.

Nareszcie rozejm zawarty! Mam wrażenie, że „poczciwi" Szwajcarzy nie bardzo się tem ucieszyli, bo na wojnie robili dobre interesy. Ich mleko, kakao, czekolada, sery i masło zalały obficie spragnione tych produktów kraje sąsiadów, a i zegarki, przemycane, lub wywożone znajdywały zwiększony zbyt zagranicą, gdzie zegarmistrze miejscowi, regulując zegary na froncie, nie mieli czasu na robienie ich przy swoich warsztatach.

Rozejm zawarty, powstanie Polski rzeczą dokonaną. Spełniony sen naszych lat dziecinnych. Czemu tatuś nie doczekał tej chwili radosnej! On tak jej czekał, taki był zawsze gotów iść z pomocą każdej akcji patrjotycznej, popierał każdy odruch protestu, buntu, czy czynu społecznego.

Opowiadała mi babunia, że podczas powstania, miał lat pięć wtedy, powstańcy zakopali u nich broń w ogrodzie, niedaleko domu. Zachodziła obawa, że moskale trafią na trop. Nasypano piasku w tem miejscu i kazano mu się bawić nim.

Dzień cały przesiedział w piasku, budując fortece, lepiąc babki. Gdy nad ranem oddział kozacki otoczył dom, plondrując w mieszkaniu, zapuszczając sondę naokoło domu, ominęli piasek, zmiażdżyli tylko obcasami starannie ulepioną fortecę.

Gdy odeszli, ojciec mój stanął przed babcią w nocnej koszulce, boso, zaspany, ale triumfujący.

— A co, dobrze się sprawiłem!

20-go listopada.

Miałam list od Sznelińskiego. Wyjeżdża do Polski. Zwolnili go jako Polaka na mocy podania jego ojca. „Błaga, bym pisała pod adresem jego ciotki w Wilnie, bym dała mu znać jak tylko wrócę.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

EMIL GABORIAN

Ajent policyjny

29)

— Eh!... Pan go znasz z pewnością lepiej ode mnie.

— Ja?

— No tak, pan. Ja go widziałem tej nocy poraz pierwszy w życiu.

— Ależ to niemożliwe. Chyba zapomniałeś? Żaden z was przecież nie pójdzie „na robotę“ nie znając dobrze swego towarzysza?

— Ja też nie mówię, że nie zrobiłem głupstwa. To też z gniewu pogryzłem sobie do krwi palce. Taki gracz jak ja, a pozwoliłem się wyprowadzić w pole jak dziecko! Bo to był przecież przebrany policjant, nic innego! Lecz dobrze mi tak, nie należało z byle kim się zadawać!

— Mylisz się chłopcze — rzekł spokojnie Lekok — człowiek ten nie był ajentem bezpieczeństwa publicznego, daję ci na to słowo uczciwego człowieka.

Przez dobrą chwilę Couturier wpatrywał się w młodego ajenta, bystremi oczami, jakby pragnąc przeniknąć, czy mówi on prawdę czy też kłamie?

— Wierzę panu — rzekł wreszcie — a na dowód, że tak jest, opowiem, jak się rzeczy miały. — Obiadowałem sam jeden wczoraj wieczorem w jednej garkuchni, znajdującej się na Placu Włoskim, gdy nagle człowiek, o którego pan pytał, przysiadł się do mego stołu, a po chwili nawiązał ze mną rozmowę. Gadaliśmy czas dłuższy o najrozmaitszych rzeczach, przyczem miałem wrażenie, że ten przygodny mój kamrat należy do naszych. No, dobrze. Ni z tego, ni z owego jednak powiada mi, że ma ubranie na sprzedaż i że nie wie, jak się wziąć do tego? Że zaś u mnie miękkie jest serce, więc go zaprowadziłem do znajomego pasera.

Wyświadczyłem mu przysługę, prawda? Lecz on znał się na rzeczy i w podzięce zaprosił mnie na poczęstunek. Gdyby to było raz, no to na tem by się było skończyło, ale on postawił i drugą butelkę, wobec tego i ja czułem się w obowiązku postawienia mu czegoś, a że przypomniały mi się doskonałe wiśnie na spirytusie w pobliskiej knajpie, więc tam udaliśmy się w przykładnej zgodzie, choć na niezupełnie już pewnych nogach.

Lecz na to moje zawianie właśnie on, coś mi się zdaje, tak długo czekał, bo już przy pierwszym kieliszku likieru zaczął mi się zwierzać, że ma na myśli pewną robotę, która mogłaby go odrazu wzbogacić. I nie jego jednego tylko, lecz również i tego, któryby się zgodził na współpracę. Pytam ja go wtedy półgębkiem i niby od niechcenia: jak ten interes na ten przykład wygląda? A wtedy on mi powiada, że cała robota polega na tem, by zabrać srebro z zamkniętego pokoju. Wystarczy iść i wziąć — oto cała parada.

Ktoby się na to nie złakomił? Więc i ja skusić się dałem, zwłaszcza iż on tak oto mi mówił: „na nic się nie narażasz, bo ja wszystko na siebie biorę, pomożesz mi tylko w przedostaniu się po przez mur ogrodowy, a gdy łód zacznę znosić, to mi go będziesz pilnował.“ O raju!... myślę sobie... co tu się namyślać? Pan byś się odrazu zgodził... No nie?... A ja się zawahałem i powiadam: iii... kiedy bo ja wolę takie tam kamyczki i złote sikory...



Sezon ogórków ma się już ku końcowi...

Ale tamten nie ustąpił tak łatwo i zaczął nacierać. Powiadał, że zna mieszkańców tego domu i że tylko w poniedziałek robota udać się może, bo w tym dniu tylko stałe w pałacu tym są przyjęcia, na które srebra dobywają z szaf okutych i składają w pewnym znanym mu pokoju, zawsze pustym.

Gdy mi ten ostatni fakt przytoczył — dopiero uległem.

Nagły rumieniec okrył blade policzki Lekoka.

— Czy jesteś pewien — zapytał żywo — czy mógłbyś zaprzysiąc, iż ten człowiek powiedział ci, że w domu księcia de Sairmeuse bywają przyjęcia w poniedziałki?

— Eh!... też pan wystąpił z pytaniem. Musiał mi przecież to powiedzieć, boć przecie trudno posądzać mnie o to, bym miał dary Ducha Świętego i zgadywać potrafił. On nawet wymienił jakieś takie podobne nazwisko na „euse“ się kończące.

Myśl obłąkana, nieprawdopodobna, idjotyczna przemknęła jak błysk gromu przez mózg Lekoka:

— „Maj i książę de Sairmeuse — to jedna i ta sama osoba“.

Był to pomysł do tego stopnia absurdalny jednak, że go odrzucił od siebie.

Był nawet zły na siebie, iż podobna niedorzeczność do głowy mu przyjść mogła.

— Czegóż zaraz szukać nadzwyczajności? — mówił do siebie — cóż w tem może być niezwykłego, że ów Maj, którego miałem przecież zawsze za osobnika z wyższego świata, wiedział o dniu przyjęć w domu tak bardzo znanym, jak księcia de Sairmeuse?...

Na tem badanie Couturiera zostało ukończone. Lekok podziękował za zeznania bardzo serdecznie, podając mu na pożegnanie rękę. Następnie wyszedł, opierając się na ramieniu Nalewajki.

Uczuwał potrzebę wsparcia się na kimś, w głowie mu się bowiem mąciło.

Przegrał fatalnie. Zaprzepaścił pierwszą powierzoną mu sprawę i to w sposób poniżający, śmieszny... tak jest, śmieszny.

Żeby go się pozbyć, dość było Majowi rzucić mu, jako przynętę, pierwszego lepszego, spotkanego w szynkowni drapichrusta!

Nie, tak przegrać, w podobnie ośmieszający sposób, — nie przytrafiło się nikomu jeszcze.

Trudno się było dziwić, iż młody ajent podobnemi myślami trawiony, — chwiał się na nogach.

To nieznośne i długie milczenie przerwał nakoniec Nalewajka.

— Gdzie idziemy? — zapytał — do Pałacu Sprawiedliwości, czy też do Prefektury?

Lekok wstrząsnął się cały.

— Do prefektury! —zawołał — a po co?... By się wystawić na drwiny i szyderstwa Żewrola? Nie mam na to dość sił i odwagi. Nie mam jej tyle na wet, by iść do pana Segmullera, ażeby mu powiedzieć: „Przyszedłem prosić o przebaczenie i przeprosić za uczyniony zawód, jak również powiedzieć, iż zbyt wysoko mnie pan cenił, gdy w gruncie rzeczy jestem wierutnym głupcem i niczem więcej“.

— Cóż więc zrobimy?

— Czy ja wiem?... Wsiądę może na okręt, odpływający do Ameryki, albo pójdę się utopić.

Wyrwał rękę z pod ramienia Nalewajki, przeszedł gwałtownie parę kroków, potem stanął...

— Nie!... — zawołał, uderzając z wściekłością nogą ziemię, — nie, ja tej sprawy tak nie zostawię, nie odstąpię jej po tej decydującej zdawałoby się przegranej. Przysięgłem sobie, iż poznam tajemnicę mordu dokonanego w „Pieprzniczce“ i od tego nie odstąpię. Jakim sposobem zagadkę tę rozwiążę — nie wiem. Ale to uczynię, albo padnę w walce.

Przez czas dłuższy rozmyślał, wreszcie się odezwał zupełnie już naturalnym i spokojnym tonem:

— Znam człowieka, który jest zdolen wydobyć nas z dna tej otchłani, w którą wpadliśmy samochcący. On odgadnie to, co dla nas jest ciemne i na światło wyprowadzi. Pójdziemy więc do niego prosić go o radę. Jego odpowiedź zadecyduje o tym, co czynić będę dalej. Chodźmy.

XXXIX.

Po nocy spędzonej na łowach, dwaj nasi policjanci powinniby odczuwać znużenie i potrzebę odpoczynku.

Podniecenie Lekoka nie dopuszczało zmęczenia, co zaś się tyczy Nalewajki, to ten znów był podobny nieco do tych nędznych i zabiedzonych koni doróż-

karskich, które wprost nie wiedzą, co to jest znużenie i wloką bez protestu ciężar życia do chwili w której padną z wyczerpania.

Nalewajka żalił się wprawdzie, że już nóg nie czuje, gdy jednak Lekok rzekł mu „iść trzeba“ — szedł bez szemrania.

W ten sposób doszli do skromnego mieszkania Lekoka gdzie się przebrali w swe zwykłe ubranie, a następnie posiliwszy się bardzo nie wyszukanem, lecz obfitem śniadaniem, podlanem butelką niezłego burgunda, ruszyli w dalszą drogę.

Młody policjant szedł z zaciśniętymi zębami z jedną myślą, myślą niedorzeczną głupią, absurdalną, jakby obłąkany.

Nie wiedział kiedy i jak doszli do dworca St. Lazare, dopiero wtedy Lekok spojrzał przytomniej i bez namysłu, pewnym zupełnie krokiem wszedł do jednego z najpiękniejszych domów tej wspaniałej dzielnicy.

— Czy pan Fabaret jest w domu? — zapytał się odźwiernego.

— Właściciel domu?... Tak, ale jest chory.

— Czy to co poważnego? — zapytał zaniepokojony Lekok.

— Hm... czy ja wiem?... To ta podagra go tak męczy.

A po chwili, z miną świętoszka dodał jeszcze:

— Bo też nie nazbyt właściwie się prowadzi. Gdzie to staremu po całych nocach za spódnicą się uganiać! To dobre dla młodych.

Wiadomości tej Lekok wysłuchał ze zdumieniem, nie powiedział jednak słowa i w milczeniu udał się na pierwsze piętro, gdzie zadzwonił.

Otworzyła im tęga, hoża i rumiana dziewczyna, która ich poinformowała, że pan, aczkolwiek leży w łóżku, gości przybywających przyjmuje, tylko że teraz jest u niego właśnie doktór. Musieliby więc zaczekać.

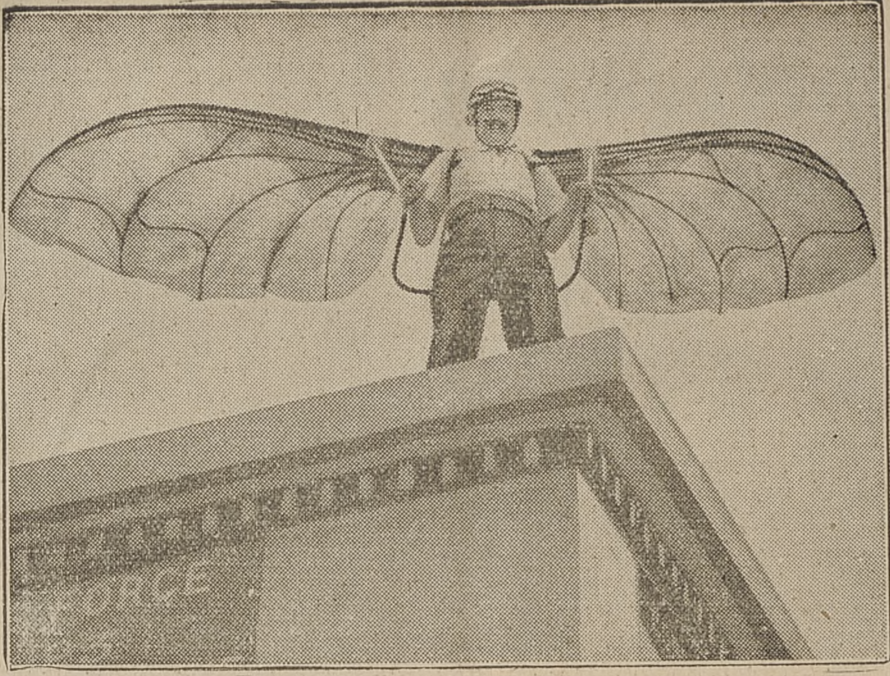
Lekok oczywiście wyraził zgodę na to i przeszedł wraz z Nalewajką do poczekalni.

Pan Fabaret, właściciel dużej kamienicy, do którego Lekok udał się po radę, był sławny oddawna w Prefekturze całej, ze swych wyjątkowych zdolności umysłowych, przebiegłości, zręczności, spostrzegawczości, zdolności wyprowadzania nadzwyczajnych a zawsze trafnych wniosków z najbardziej błahych zdawałoby się poszlak notabene.

Był to eks-urzędnik z lombardu miejskiego, który do czterdziestego roku życia żył jak sknera, ciułając grosz do grosza ze swej skromnej pensji. Wtedy rzucił się do spekulacji giełdowych i odrazu, w przeciągu paru miesięcy zrobił majątek. Poprosił wobec tego natychmiast o dymisję, lecz już nazajutrz zaczął żałować posady, którą tak bardzo przedtem przeklinał.

Nie wiedział wprost, co ma robić z czasem?... Zaczął zbierać stare książki... potem marki pocztowe... wszystko naprożno. Nudził się coraz bardziej.

Chudł, żółkł i mizerniał, mimo swej czterdziesto tysięcznej renty. Aż wreszcie spadła na niego, pewnego wieczora, myśl, jakby objawienie.



Jak corocznie, również i obecnie otwarta została wystawa wynalazków w Paryżu. — Rozmaitego rodzaju wynalazki, z mniejszem czy większem prawdopodobieństwem zastosowania ich w praktyce, demonstrowane są osobiście przez wynalazców. — Na ilustracji nowoczesny Ikar, który przy pomocy przez siebie skonstruowanych skrzydeł potrafił utrzymać się jakiś czas w powietrzu.

Kupił właśnie rankiem dnia tego w jednym z kramików w Odeonie stary rękopis jakiś, który okazał się następnie pamiętnikami jednego z inspektorów policji tajnej, sławnego ongi ze swego nadzwyczajnego węchu.

Zaczął się w tem rozczytywać, a po chwili... krytykować i wynajdywać wszystkie popełnione przez autora błędy.

— Ależ ja mógłbym być doskonałym policjantem! — rzekł do siebie w pewnej chwili.

I to zadecydowało o dalszem jego życiu.

Przedewszystkiem zaczął gorączkowo zbierać wszystkie książki i dzieła o tajnej policji i systemach prowadzenia śledztwa, a następnie się w nich z uwagą rozczytywać. Potem zagłębiał się w kronice kryminalnej pism codziennych chodził na rozprawy sądowe, wsłuchiwał się w zeznania świadków...

Jednem słowem — kształcił się.

Jeżeli popełniono jakąś zbrodnię, biegł natychmiast na miejsce wypadku i sam, na własną rękę, prowadził małe śledztwo. No i bardzo szybko się przekonał, że jego wnioski często okazywały się doskonałe.

Wtedy marzeniem jego się stało wyjść na szerszą arenę, stać się kółkiem machiny, która wydziałem śledczym się nazywa, a oko której jest wszędzie.

Sto razy był zdecydowany iść tam, by prosić o jakąś małą posadę, i sto razy się cofał, powstrzymywany wstydem, co sam nazywał głupim przesądem.

— Co powiedzianoby o mnie — myślał — gdyby tak stało się wiadome, że ja, stateczny mieszczanin paryski, właściciel kamienicy, jestem ajentem tajnej policji, „szpiclem“ z Jerozolimskiej ulicy?

Nikt jednak nie uniknie swego przeznaczenia, więc i Fabaret, pewnego wieczora, nie zastanawiając się nad tem co robi, odruchowo przekroczył próg tajemniczy i pokornym głosem poprosił o zajęcie.

Przyjęto go zrazu dosyć źle. Poszukujących pracy jest, zawsze, aż nazbyt duża liczba. Lecz on nie nalegał. Prosił jedynie, by go wypróbować zechciano. Na odczepne dano mu jakąś drobną sprawę do załatwienia... potem drugą... trzecią... Wywiązywał się z tych zadań zawsze doskonale, przynosząc stale o wiele więcej, aniżeli od niego żądano.

To zwróciło na niego uwagę. Zaczęto mu powierzać sprawy poważniejsze. Poszło jeszcze lepiej, aż wreszcie afera pani B., żony bankiera, zwróciła na niego ogólną uwagę. W tym wypadku zawezwano go wtedy dopiero, gdy policja zrezygnowała ze śledztwa, przyznając, iż wykrycie sprawy okazuje się dla niej niemożliwe. Wtedy Fabaret udowodnił w sposób nie podlegający żadnym wątpliwościom, że sprytna bankierowa okradała sama siebie, ażeby tym sposobem zdobyć sumy potrzebne jej na opłacanie kochanka.

Po ujawnieniu tego skandalu, Fabaret stał się powagą, z którą wszyscy się liczyli. Zaczęto mu powierzać sprawy najważniejsze, najbardziej tajemnicze, co nie znaczyło jednakże, by został urzędnikiem, był ajentem śledczym amatorem, w pełnem znaczeniu tego określenia, ponieważ wszystkie polecenia spełniał bezinteresownie, własnym zawsze kosztem w dodatku.

To co robił, robił dla własnej przyjemności, dla zaspokojenia swej namiętności. Polował na zbrodniarzy w Paryżu, jak myśliwi na dzikiego zwierza polują w puszczach.

Taki przygodny amator nie mógł mieć jednak sympatji wśród pozostałej reszty ajentów, pracujących zawodowo, dla chleba, a nie dla przyjemności, to też był on znany w ich gronie pod mianem „popsuja“.

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

Kraina szczerości i naszych trosk

Każdy Czytelnik „Moich Powieści" ma prawo pisać do tego działu

Dobre rady p. Zofji

MYŚLĘ, ŻE KORESPONDENCJA PRZYNIESIE PANI UROZMAICENIE

„Śnieżna Kula." Myślę, że odpowiedź na list, który zaraz wysłałam, przyniesie Pani trochę urozmaicenia i da możność nawiązania interesującej korespondencji. Za pozdrowienia dziękuję serdecznie i przesyłam Pani również moc.

CHCIAŁABYM

„Ika". Czy jestem zadowoloną z liściku? Ależ tak! Któżby nie przeczytał z zadowoleniem tak miłych, prostych i bardzo serdecznych słów? Chciałabym podobne listy odbierać częściej, myślę więc, że sprawisz mi „Iko", tę przyjemność i odezwiesz się od czasu do czasu?

Prośby Twoje spełniam i oddaję do druku kilka słów z Twego listu:

„Olo z Wesołej Dwójki"! dziękuję Ci za pozdrowienia, które w pełni odwzajemniam. A może do mnie napiszesz? Odpowiedź „murowana"! Czekam!

Hallo! „Brzydka Kaszubko"! Czyś zapomniała o swej „siostrzyczce"? Dlaczego milczysz tak uparcie?

„Idealisto Pałucki"! przyjm siostrzane pozdrowienia i uśmiechy."

A teraz kilka słów na temat przesłanych wierszyków: miłe i bezpretensjonalne. Jestem poprostu zdziwiona, że nie wykorzystujesz, „Iko", swych zdolności i nie zasilasz Teczki Wujka Janusza swemi utworami.

KTO POŚWIĘCI WIERSZYK?

„Te-Em." bardzo zainteresował się wierszykami poświęconemi „Słodkiej Psyche" i pod wpływem tego prosi piszących w „Krainie" wierszyki o poświęcenie mu jakiegoś utworu. Ucieszy się również, gdy prześle mu ktoś pierwszy liścik, celem nawiązania korespondencji.

Za przesłane wyrazy sympatji i poważania dziękuję bardzo i zapewniam Pana, że liścik pański zrobił na mnie jak najlepsze wrażenie.

KIEDY SIĘ ZWOLNA ROZEJDĄ...

Za oknem upojne lato
i kwiaty kwitnące,
Za oknem zostało szczęście
i słońce gorące...
Patrzą na siebie bez żalu
w tajemnej obłudzie,
nic nie wiedzący o sobie
dwaj uparci ludzie...
Cisza im palce położy,
na usta milczące,
Słońce im rzuci na głowy —
swe blaski więdnące.
Nie powie w chwili tej żadne:
„napróżno"... „daremnie"...
Na cóż się zdadzą wyrzuty:
„przez ciebie"... przezemnie"?
Że wszystkich nieszczęść na świecie
to jedno jest straszne...
Kiedy się w smutku rozejdą
dwa serca na zawsze.

„Ika."

„PUER" NIE OTRZYMAŁ DOTĄD ŻADNEGO LISTU

„Puer." Wyobrażam sobie zdziwienie Pana, gdy zobaczy dzisiaj w „Krainie" odpowiedź pod swoim dawnym pseudonimem, którego, pomimo życzenia nie zamieniłam na nowy, gdyż nie podoba mi się jego „psie" brzmienie. „Puer" brzmi bardzo miło i stanowczo nie powinien się Pan sprzeniewierzać temu pseudonimowi.

Pisze Pan, że nie otrzymał dotychczas żadnego listu. Jestem pewna, że miłe Sympatyczki „Krainy", gdy się o tem dowiedzą, napiszą i do Pana, zwłaszcza, gdy im zdradzę, że jest Pan bardzo inteligentnym, przystojnym i sympatycznym chłopcem.

Za życzliwe, serdeczne słowa bardzo dziękuję i ślę moc szczerych pozdrowień.

„CHCIAŁBYM POZNAĆ KOGOŚ SAMOTNEGO I OPUSZCZONEGO"

„Biały Djabeł". Apel Pana do Czytelników podaję bardzo chętnie:

„Mieszkam na wsi nad rzeką Wartą, w okolicy Poznania. Jestem młodym blondynem, średniego wzrostu — uwielbiam „płeć piękną." Chciałbym poznać kogoś samotnego i opuszczonego. Ślę pozdrowienia serdeczne całej „Rodzince."

Na zakończenie zostawiłam sprawę pseudonimu Pana: czy nie mógłby go Pan zmienić, tak, aby brzmiał mniej paradoksalnie?

PROSZĘ MI DONIEŚĆ

„Maleńka Halutka." List Pani nadszedł w chwili, kiedy „Moje Powieści" były już w druku, więc dopiero dzisiaj daję Pani odpowiedź na list, oraz zamieszczam ogłoszenie.

Cieszę się bardzo, że czuje się Pani lepiej i powoli zapomina o żalu i doznanych przykrościach — widzę, że nadeszła wreszcie dla Pani pożądana reakcja: zapomnienia o smutkach, wyjścia z bezładu rezygnacji i pogodniejszego ustosunkowania się do świata.

Na zakończenie przesyłam Pani dużo pozdrowień i życzę Jej zdobycia jak najprędzej posady. Proszę, niech mi Pani doniesie w następnym liście o rezultacie podanego ogłoszenia — dobrze?

WYSŁAŁAM

„Tęsknota z Działdowa". Po otrzymaniu adresu listy wysłałam. Kto wie, czy jeden z nich nie będzie tym upragnionym listem, od kogoś szlachetnego, dobrego, o którym Pani daremnie dotąd marzyła? Myślę, że w następnym liście nie zapomni mi Pani trochę o tem napisać? Ucieszę się bardzo!

UWAGA, PANIE Z POMORZA I POZNAŃSKIEGO

„Sympatyczny Przyjaciel." Wierszyki Pana nie posiadają żadnych zalet literackich, dlatego do druku pójść nie mogą. Chcąc pisać wiersze, trzeba mieć talent w tym kierunku, a Pan go, niestety, nie ma, pomimo, że pisze bardzo piękne listy. Szczególnie zainteresował mnie ostatni, w którym obszernie opisuje Pan swoje szkolne czasy i różne koleje życia. Jestem pełna podziwu dla Pana. Tylko człowiek wartościowy potrafi posiadać podobne zainteresowania i z takiem zamiłowaniem zdobywać wykształcenie.

Dowiaduję się, że chciałby Pan korespondować z Paniami z Pomorza i Poznańskiego. Nie pozostanie mi więc nic innego, jak zaapelować do Sympatyczek z tamtych stron Polski, aby pamiętały o Panu i w wolnej chwili skreśliły kilka słów do Pana, celem nawiązania korespondencji. Serdecznie pozdrawiam.

PROSZĘ O ZMIANĘ PSEUDONIMU

P. Adolf Z. „Pseudonim" dość dziwny, dlatego postanowiłam poczekać, aż mi Pan nadeśle inny. Wybór nie będzie trudny, myślę więc, że już wkrótce otrzymam nowy pseudonim i będę mogła już bez żadnych przeszkód podać apel Pana w „Krainie".

KTÓRA Z PAŃ NAPISZE DO „TEFI"?

„Tefi." Przypuszczenia Pani są trafne. Dziękuję za uznanie!

Z jak największą chęcią apeluję do Sympatyczek „Krainy", by napisały do „Tefi", która jest szalenie miłą dziewczynką i pomimo, że prowadzi urozmaicone różnemi zajęciami i rozrywkami życie, pragnęłaby nawiązać korespondencję z którąś z „siostrzyczek" — członkiń „Krainy".

„Tefi" śle pozdrowienia: „Dzikiej Orchidei", „Białej Uajali", „Tofi", „Jadźce z Kujaw" oraz „Wesołej Dziuni" z zapytaniem, czy nie jest Jadzią P., absolwentką Szkoły Handlowej w Bydgoszczy. Jeżeli tak, czy przypomina sobie Stefę K.?

Czy otrzymała Pani okazowe numery „Mojej Przyjaciółki"? Proszę mi donieść, jak się Pani to czasopismo podoba.

PATRZMY JAŚNIEJ W ŻYCIE

„Ada z Jeżowa". Smutna Dziewczynko! żal mi Cię, bardzo, bardzo. Chciałabym choćaż małą chwilę z Tobą porozmawiać i powiedzieć Ci, że szkoda młodych lat spędzanych na egzaltowanych smutkach i żalach. Czyż życie nie uśmiecha się do Ciebie ani trochę? Czy przyszłość Twoja nie posiada ani odrobiny uroku? Napewno i w pierwszym i drugim wypadku sytuacja nie przedstawia się u Ciebie beznadziejnie. W życiu kobiety jest tyle pięknych zadań do spełnienia, zadań, które przynoszą największą satysfakcję, że nie powinnyśmy roztliwiać się nad własnemi niepowodzeniami i przykrościami życiowemi, lecz starać się zawsze przełamywać sentymentalne nastroje smutków i patrzeć na wszystko otwarcie i trzeźwo. Od nas tylko zależy, aby umieć cierpieć tak, aby to było dla nas zasługą i aby mieć twarz pogodną, pomimo niepowodzeń. Słuchaj, jak pięknie mówi pewien angielski poeta o kobiecie:

Zacna kobieta, jakby na to nam zesłana,
By nieść pociechę, czuwać i dawać rozkazy,
Dusza pogodna, jasna i czysta bez zmazy,
Anielskiem tchnieniem owiana.

Słowa te piszę, Droga „Ado", z nadzieją, że zrozumiesz o co mi chodzi. Pragnę bowiem szczerze nawrócić Cię z drogi smutku, wlać otuchę w serce i nauczyć Cię pogodnie patrzeć na świat. Chyba postarasz się o to, moja mała Przyjaciółeczko, aby moje starania w tym kierunku nie spełzły na niczem? W chwili zwątpienia pisz, jak zwykle o wszystkiem szczerze i otwarcie i bądź pewna, że Cię zrozumiem.

ZAMACH NA PSEUDONIMY

„Biały Murzyn." Za długi, pełen serdecznych słów list dziękuję z głębi serca. Przyznaję zupełną rację temu, co Pan napisał, tylko jeżeli chodzi o mnie, przecenia Pan moją pracę. O żadnych trudach i poświęceniu nie może być mowy skoro praca przynosi mi tylko zadowolenie. Podoba mi się młodzieńczość Pana i Jego „radosne" poglądy na życie. Człowiek o podobnym charakterze, zawsze sobie da radę w życiu i nie podda się nigdy niepowodzeniom i słabościom. Brawo! „Biały Murzynie"!

A teraz kilka słów à propos pseudonimu Pana: ponieważ, jak Pan zdążył zauważyć, robię dzisiaj zamach na pseudonimy o dziwacznem brzmieniu, proszę i Pana o zmianę swojego. Myślę, że bez ceregieli to Pan załatwi? Łączę jak najserdeczniejsze pozdrowienia.

NIE PRZYPOMINAM SOBIE

„Elżunia z Torunia." Niestety! Pseudonim Pani nie mogę podać, gdyż nie przypominam sobie, aby wymieniona przez Panią osoba pisała kiedykolwiek do mnie. Załączone przez Panią pozdrowienia dla: „Steni z Pomorza", „Marylki o złotem serduszku", „Słodkiej Gildy", „Czanki-Brodni", „Smętka", „Pella" i „Strażnika granicznego z pod Chodzieży" — przekazuję."

POWIEM CI...

Powiem ci bajkę jedną —
Jakiej świat dotąd nie słyszał,
Gdy blaski świateł zrzedną
I będzie wokół cisza —
Powiem ci bajkę jedną.

Pójdziemy za wieś drożyną:
Na szlak kwitnących koniczyn —
Kiedy ostatnie blaski zginą,
Blaski zachodu zwodnicze...

Wtedy ci bajkę opowiem,
Jakiej świat dotąd nie słyszał!...
Gdy poczną gwiazdy się złocić —
I będzie błękitna cisza —
Wtedy... ci bajkę opowiem.

„Helutka."

BĄDŹ PRZEKONANĄ!

„Dzika Cyganka." Skądże się u Ciebie, Kochanie, wzięły takie okropne przypuszczenia? Doprawdy, nie potrafiłabym się na Ciebie gniewać! Zresztą za co? Porzuć więc raz na zawsze swoje podejrzenia i bądź przekonaną, że stale myślę o Tobie jak najlepiej, a jeżeli nie daję prędko odpowiedzi na list, to dowód, że wielki nawał korespondencyjny nie pozwala mi dać natychmiastowej odpowiedzi.

Na zakończenie całuję Cię serdecznie, „Dzika Cyganko", cieszę się ogromnie z obietnicy przesłania mi fotografji i załączam moc uścisków dla Twej kuzynki „Smutnej Indjanki."

WIERSZE SŁABE

„Dyza." Ostatnio przesłane wiersze są bardzo słabe. Nawet pomimo poprawek nie da ich się zamieścić, gdyż myśli w nich są banalne i nie ciekawe. Najlepiej będzie, gdy napisze Pan liścik do Sympatyczki, której poświęca wierszyk „Nieznana", a ja go chętnie przekażę adresatce.

Ciekawa jestem, jaką Pan poweźmie decyzję.

ODPOWIEDŹ NA BARDZO MIŁY LIST

„Helutka." Jesteś rozbrajającą w swym liściku, Miła Dziewczynko. Chciałabym Cię zobaczyć, jak wyglądasz w tym olbrzymim fartuchu z miną doświadczonej osoby. Oj! zdaje się, że z tą „minką" niebardzo „Helutce" do twarzy, skoro jest zawsze bardzo wesołą, nawet wtedy, gdy w lesie szybko napełniają jej się dzbanki jagódkami i nawet wtedy, gdy „marzy" sobie gdzieś w ustroniu z rozwichrzoną czupryną, z rumieńcami i czerwonemi ustami, wysmarowanemi wisienkami, siedząc (zapewnie na drzewie?) z opuszczonemi, bosemi nogami. Pytasz, jak mi się podobasz w takiej pozie? W mojej wyobraźni nadzwyczaj! Gdybym posiadała zdolności malarskie, namalowałabym odrazu obrazek.

Twoje wspaniałomyślne chęci zaproszenia mnie i Sympatyków „Krainy" na kawę z lodami, konfiturami i pieczywem, ujęły mnie ogromnie, jednakże, chociaż mi ślinka idzie na te specjały, z zaproszenia skorzystać jest niepodobieństwem, bo cóżby to było, gdybym tak stanęła przed gościnną „Helutką" z kilkutysięczną rzeszą Sympatyków „Krainy" i prosiła o te jej smaczne konfitury i własnego pieczywa ciastka?... „Ad ultimum" więc, pozostanie nam tylko uściskać się na odległość i jak dotąd poprzestawać na korespondencji.

Załączony wierszyk — miły i czarujący, jak jego Autorka.

BARDZO SIĘ CIESZĘ

„Milka z Jeżowa". List Pani sprawił mi bardzo dużo radości. Szczęście Pani rozumiem najzupełniej, gdyż i ja znajduję się w podobnie szczęśliwej sytuacji. Proszę, niech mnie Pani zawiadomi o terminie swego ślubu.

Przerwaną korespondencję, sądzę, że byłoby zbytecznem nawiązywać, ale formy grzecznościowe nakazują przesłać kilka słów wytłumaczenia lub podania powodów, dlaczego nie odpowiada się na listy.

Bardzo się cieszę, że i z chwilą wyjścia zamąż, nie zmieni Pani swego ustosunkowania się do mnie i dalej będzie kontynuowała naszą przyjaźń.

NAWIĄZANIE KONTAKTU

„Wańko z Lisowa". W celu nawiązania kontaktu, przesyłam Panu jak najserdeczniejsze pozdrowienia i wiadomość, że list wysłałam. Dokąd? Zapewnie zdążył się Pan dowiedzieć?

MOŻE POROZMAWIAMY KIEDYŚ OSOBIŚCIE

„Samotna Konwalja". Musi być Pani bardzo zacną osóbką, skoro potrafi pisać tak serdeczne liściki. Może kiedyś spotkamy się, gdyż mam zamiar wybrać się kiedyś na Pomorze, więc porozmawiamy obszernie o tem, co jest niepodobieństwem, ze względu na szczupłą ilość miejsca w „Krainie", poruszać w odpowiedziach na listy.

Załączony wierszyk nie zamieszczam, gdyż jest naśladownictwem znanego sielsko — anielskiego wierszyka, często wpisywanego w pamiętniki. Słowa przeznaczone dla „Kartuzjanina" przedrukowuję.

„Myślę, że się już nie spotkamy, „Kartuzjaninie", życzę Ci więc powodzenia, jak największej zadowolenia i szczęścia w życiu."

Kończąc, serdecznie Panią pozdrawiam i przesyłam Jej wyrazy sympatji.

WIADOMOŚCI — UCIESZYŁY MNIE

„Wesoły Florek". Sprawa pseudonimu załatwiona. Wiadomości, zawarte w liście, ucieszyły mnie bardzo. Ślę w imieniu Pana pozdrowienia „Wesołej Dziuni" i „Feli" z prośbą o napisanie do Niego kilku słów. Serdecznie pozdrawiam.

KORESPONDENCJA

„Iksunia z Grudziądza". Ujęło mnie to bardzo, że napisałaś do mnie, „Iksuniu", z takiem zaufaniem i szczerością. Martwisz się i cierpisz? Wytrwaj! Przyjdzie dzień, że smutek Twój minie i znowu będziesz spokojna. Apel do Sympatyków podaję niżej:

„Chciałabym korespondować z jakimś sympatycznym, eleganckim o szlachetnym charakterze Panem, oraz z którąś z Pań. Ślę pozdrowienia „Marzycielowi z pod Kościana" i uznanie za wierszyk w nr. 49 — „Prośba". Cieszyłabym się, gdyby „Marzyciel częściej napisał jakiś wiersz".

CZY PANI ODEBRAŁA?

„Marzycielka z pod Kościana". Za pozdrowienia bardzo dziękuję! Czy odebrała Pani list? Proszę mi o tem napisać następnym razem, dobrze?

ZAMIEŚCIMY PRZY OKAZJI

„Fakir". Sympatyczka, o którą Pan pyta nie pisała dość dawno. Brakujące numery wysłaliśmy. Wiersze i nowelki spoczywają w teczce redakcyjnej. Kiedy będą zamieszczone? Przy okazji, terminów z zasady nie wyznaczamy. Przesyłam dużo pozdrowień i wyrazów serdeczności.

DO TECZKI WUJKA JANUSZA

„Księżniczka Dari". Dzisiaj daję Pani odpowiedź na pocztówkę: List Pani odebrałam i dawałam już na niego odpowiedź w jednym z numerów „Moich Powieści". Wiersze i nowele, proszę, niech Pani prześle do Teczki Wujka Janusza.

NADZIEJA

„Pensjonareczka" przesyła pozdrowienia: „Ord — Omowi" — „Blondynkowi w mundurze" — „Bandycie" — „Białej Uajali" — „Jadźce z Kujaw" i „Czarnemu Olkowi" i żywi ogromną nadzieję, że i do Niej ktoś napisze list. Czy nadzieje „Pensjonareczki" spełzną na niczem? Chyba nie!

CZY KTOŚ NAPISZE?

„Smutna Mirjam" chciałaby skimś korespondować, jednakże wątpi, czy ktoś do Niej napisze. Kto z Sympatyków rozwieje zwątpienie „Smutnej Mirjam" i skreśli do Niej kilka życzliwych słów? A może ktoś z mieszkańców lub mieszkanek lasu, gdyż „Smutna Mirjam" miałaby z nimi ochotę wymieniać swoje myśli.

PRZECZYTAJMY SOBIE WSZYSCY

„Pell." Stary i znany wszystkim Sympatyk „Krainy" przysłał mi ostatnio krótki liścik — przeczytajmy go sobie wszyscy:

„Pani Zosieńko! Już za kilka tygodni przyobleką mnie w szary mundur podchorążych i będę maszerował: raz, dwa, trzy! a wieczorem po ćwiczeniach czytywał „Moje Powieści". Nim jednak to nastąpi, przesyłam Pani jeszcze ostatnie milusieńkie pozdrowienia z „cywila", jak również dla Jej „Córeczek": „Feli z Trok", „Dzidzi", „Pazia", „Oli z wesołej dwójki" „Elżuni z Torunia", „Stokrotki" oraz wszystkim innym osóbkom z „Krainy".

„Pell."

„MOJE POWIEŚCI" BĘDĄ WYCHODZIŁY, JAK DOTYCHCZAS

„Wierna Czytelniczka". List wysłałam. Sposób doręczenia go przez Panią bardzo dobry. „Moje Powieści" będą wychodziły tak, jak dotychczas, gdyż w przeciwnym razie straciłyby charakter tygodnika. Za pozdrowienia dziękuję i przesyłam ich Pani również moc.

Teczka Wujka Janusza

PODZIĘKOWANIA

P. M. Ch. Życzeniom Pana stało się zadość. Kilka słów listu Pana, dotyczących Sympatyczek „Krainy" oddaję do druku: „Przesyłam gorące podziękowania „Samotnej Polnej Stokrotce" za poświęcony mi wierszyk, oraz ślę dla Niej braterskie pozdrowienia. Równocześnie łączę serdeczne pozdrowienia i ukłony dla „Królewny z Bajki" i składam Jej podziękowanie za fatygę"...

„Roczniki Moich Powieści" można nabyć w naszej administracji. Przesyłam moc pozdrowień.

ZA POŚREDNICTWEM P. ZOFJI

„Te — Em". Proszę, niech mi Pan doniesie, czy wiersze Pana nie są żadnemi naśladownictwami. Jeżeli będą oryginalnemi utworami Pana — zostaną wszystkie umieszczone.

Przekazuję w imieniu Pana pozdrowienia „Cyganeczce", oraz uznanie dla „Wirryta" za wiersz poświęcony „Słodkiej Psyche".

W sprawie nawiązania korespondencji, radzę Panu pierwszemu skreślić liścik i przesłać go Sympatyczce, którą się Pan zainteresował za pośrednictwem p. Zofji.

PROSZĘ O PAMIĘĆ

„Pokutnik". Stanowczo nie ma Pan szczęścia! I mój kosz okazał się bardzo gościnny dla Pana „jesiennych podmuchów i zagasłych nadziei". Proszę jednak się tem nie zrażać, gdyż nie jest wykluczonem, aby Pan nie napisał kiedyś coś dobrego. Może mi Pan prześle więcej wierszy? — zobaczymy!

Serdecznie ściskam dłoń, mojemu nowemu Sympatykowi i proszę o jak najczętszą pamięć.

CZY MOŻNA WIERZYĆ?...

Czy można wierzyć otwarcie i śmiele,
Tak bez zastrzeżeń i bólów
Wierzyć, że szczęście nie jest znikome,
Nie jest tym ptakiem z lazurów?...
Czy można wierzyć otwarcie i śmiele,
Że życie to bajka, nie widmo,
Baśń nieskończenie długa, cudowna,
Szalona, jak mocne wino?...
Czy można wierzyć, że miłość człowieka,
Nie jest chwilowym szałem,
Nie jest tym słabym, nietrwałym kwiatem,
Co więdnie pod słońca żarem?...

„Stella Maris."

FOTOGRAFJE SPRAWIŁY MI DUŻO RADOŚCI

„Maleńka Dzidzi". Nie wiem jak Pani podziękować za tę wzruszającą, wielką pamięć okazaną mi w postaci tych zdjęć. Wszystkie bardzo miłe. Trudno przyznać, która ładniejsza. Najchętniej zostawiłbym je sobie w komplecie, ale wiem, że muszę je zwrócić „Maleńkiej Dzidzi", bo w pierwszym rzędzie stanowią dla Niej największą pamiątkę i wartość. Przesłanie fotografje sprawiły mi także dużo radości dlatego, że Wisłę znam bardzo dobrze, gdyż spędzałem w niej wakacje dwa lata temu.

Żegnam Panią również po „bratersku" ślicznie dziękuję za przemiły, jak zwykle liścik i przesyłam osobne pozdrowienia dla pięknej Siostrzyczki Pani.

„SUROWY WYROK"

„Stella Maris." Śliczną fotografję Pani zwrócę w najbliższych dniach, ale pod warunkiem, że otrzymam inną. Widzę z listu, że nie próżnowała Pani na wakacjach, skoro powróciła do domu opalona na bronz. Zapewnie na program dnia składały się wycieczki, plażowanie kąpiele słoneczne itd? Jeżeli to nie sprawi Pani trudności, proszę mi napisać trochę o wrażeniach letniskowych.

A teraz wydaję „surowy wyrok" o wierszyku Pani: Całość pozostawia dużo do życzenia, ale pierwsze trzy zwrotki dość miłe. Oddaję je do druku. Kiedy znów sympatyczna p. „Stella" napisze do mnie?

Wykopaliska w Biskupinie pod Żninem

dają obraz życia praojców naszych sprzed 2500 lat

Jak pisaliśmy już w ub. roku, natrafiono na półwyspie jeziora biskupińskiego w pow. żnińskim, na osadę bagienną, pochodzącą z wczesnego okresu żelaznego, z czasów pomiędzy 700 a 400 przed Chr., t. zn. mniejwięcej sprzed 2500 lat.

Badania, prowadzone przez ekspedycję Uniwersytetu Poznańskiego w ub. roku i obecnie kontynuowane, dały tak doniosły naukowo materjał wykopaliskowy, że wzbudził on zainteresowanie nietylko wśród uczonych polskich, ale i zagranicznych. Pozatem — codziennie do odkrytej osady przybywają liczne wycieczki i turyści z całej Polski, by zwiedzić całość wykopalisk, korzystając z objaśnień fachowych.

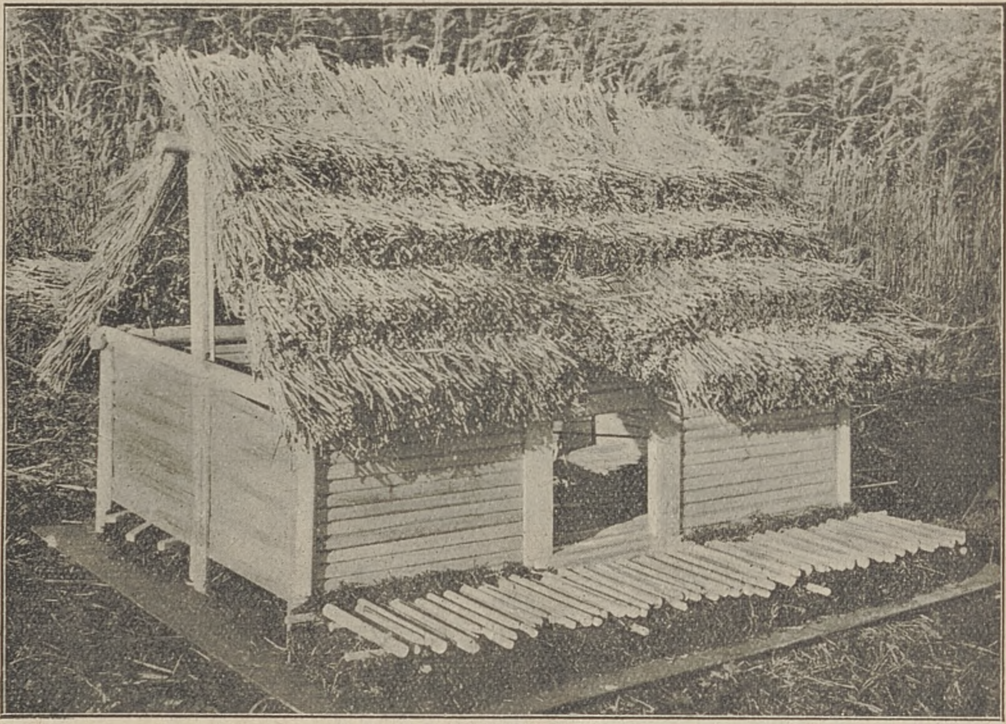
Prace nad odkopywaniem osady postępują stale b. żywo naprzód. W tym roku odsłonięto 5 nowych ulic i 15 chat, tak, że razem z przeszłorocznemi widoczne jest obecnie 7 ulic i 22 chaty.

Uderza przedewszystkiem planowość założenia osady. Budowana na powierzchni wapiennej, miała za podkład faszynę z drzewa brzozowego (doskonale zachowała się kora), na którą kładziono grubo ciosane belki dębowe i olchowe. Wszystkie chaty, mniejwięcej jednakowe co do wielkości, budowane były wzdłuż ulic, wymoszczonych drzewem i posiadały przedsionki o szerokości około 2 m, na całej długości chat. Naokoło osiedla biegnie ulica okrężna, na którą wychodzą wyloty ulic poprzecznych, dokładnie równoległych do siebie i biegnących w różnych odstępach w kierunku z zachodu na wschód.

Bardzo ciekawa jest również sama konstrukcja chat t. zw. sumikowo-łątkowa, która polega na tem, że ściany chat składały się z czterech okrągłych słupów na rogach (t. zw. łątek), posiadających dwa żłobki wycięte pionowo na całej długości słupa pod prostym kątem do siebie, w które wsuwane były ciosane siekierą deski lub belki, (t. zw.sumiki), układane poziomo jedna na drugiej. Z sposobu budowy chat wnioskować możemy o dużej pomysłowości przedhistorycznych „budowniczych", na przykład dla umożliwienia użycia krótszych desek lub belek ustawiano na środku ściany pomiędzy słupami narożnemi jeszcze jeden lub kilka płasko obciosanych słupów z podobnie wyciętemi, ale przeciwległemi żłobkami pionowemi. Tego rodzaju konstrukcja dostosowana była znakomicie do terenu bagnistego, gdzie zależało na rozłożeniu ciężaru ścian na liczne słupy. Oddrzwia chat zrobione były także z podobnie płasko obciosanych słupów, z tą tylko różnicą, że posiadały żłobki tylko od strony zewnętrznej, a od wewnątrz miały ściany gładkie. Chaty o podobnej konstrukcji są do dziś w użyciu w całej Polsce zachodniej, jedna znajduje się nawet we wsi Biskupin, niedaleko wykopalisk.

Wiele jeszcze ważnych i ciekawych wniosków co do wyglądu chat wysnuć można z odkryć biskupińskich. We wszystkich odkopanych chatach zachowały się doskonale podłogi drewniane, układane z belek i drągów, a na prawej stronie od wejścia (związek z obrzędowością) paleniska z kamieni polnych Przy jednem z takich ognisk w największej z odkrytych chat zachowały się jeszcze na krawędzi 2 ukośne tkwiące w ziemi drążki, które razem z innemi niezachowanemi drążkami prawdopodobnie przytrzymywały kiedyś rożen lub służyły do oparcia sznura, na którym zwisał nad ogniem garnek do gotowania.

Przezorni założyciele i mieszkańcy osady biskupińskiej nie zadowolili się jednak naturalną,obronnością swego osiedla, zwiększyli ją jeszcze usypaniem dokoła ostrowu potężnego wału. Ażeby się ziemia tego wału nie osypywała, pobudowali najpierw z belek, kładzionych na węgieł, wielkie skrzynie kwadratowe i poustawiali je jedna przy drugiej, wzmacniając je nadto po bokach słupami pionowemi i okładając je wielkiemi polnemi kamieniami. Aby mur ten nie był łatwopalny, wypełniano owe skrzynie gliną. Od strony jeziora, poza temi izbicami, jak nazywamy podobne umocnienia, wybudowano niezmiernie ciekawy falochron, złożony z kilku rzędów grubych pali, wbijanych ukośnie w dnio jeziora i przytrzymujących leżące belki, co miało za zadanie zapobieganie podmywaniu brzegu i stanowiło ochronę przed naporem lodów. Tego rodzaju stroma palisada utrudniała ponadto wrogom dostęp do okopu, z pozakiórego mieszkańcy osady mogli się bronić, miotając w napastników głazy, strzały, czy wreszcie spychając ich dzidami. Tak doskonale obwarowana osada bagienna była właściwie nie do zdobycia przy ówczesnej technice oblężniczej. Można ją było jedynie spalić. Ślady pożarów (nadpalone belki ulic i chat) widoczne są w osadzie biskupińskiej, ale niepodobna odgadnąć, czy wzniecone one zostały przez wroga, czy też spowodowane nieostrożnością mieszkańców, którzy jednak nie zrażając się klęską, wznosili na pogorzelisku nowe chaty. Dotychczas udało się stwierdzić, że trzy razy kolejno budowano domy na pozostałych dawniejszych.



Rekonstrukcja jednej z chat odkopanej osady biskupińskiej

Z chat zachowały się — oczywiście — poza podłogami tylko dolne części ścian, przykryte przez szybko rosnącą roślinność bagienną, i dzięki temu doskonale zakonserwowane przez ten niezwykle długi okres 2500 lat. Górna część domów, wystawiona na wpływy atmosferyczne, uległa zniszczeniu. Tym samym pomyślnym warunkom zawdzięcza swe zachowanie także duża ilość przedmiotów kościanych, rogowych, a nawet drewnianych, znalezionych w chatach i ich otoczeniu.

Poza pierwszorzędnem rozplanowaniem osady — uderza jeszcze odrazu jej obronność, częściowo naturalna, częściowo doskonale obmyślana i przeprowadzona. Cała osada zbudowana była na bagnistym ostrowie, z natury obronnym dzięki swemu położeniu — z 3-ch stron wody jeziora, z czwartej trzęsawica (dzisiejsze torfowisko).

O życiu przedhistorycznych mieszkańców osady biskupińskiej — w następnym numerze.

Danuta Wyrybkowska.

Raj kobiet

Efektowny sweterek



W obecnych czasach, kiedy moda szydełkowania przybiera coraz to szersze granice, a chłodne dni jesienne już za progiem, każdy z nas chętnie pomyśli o zaopatrzeniu się w ciepły, wełniany sweterek. Wykonać go nietrudno. Wystarczy tylko trochę zręczności i pomysłowości. Przypatrzmy się podanemu wyżej modelowi: sweterek ten wykonany bardzo prostym ściegiem, jest wyhaftowany w kwiatki, włóczką, w kilku ciemnych odcieniach, które nadają całemu sweterkowi młodociany wygląd. Każda więc z młodych pań może go swobodnie zakładać z tem przeświadczeniem, że jej będzie w nim do twarzy.

Najstarsza chórzystka świata

Najstarszą w świecie chórzystką jest p. Marja Savage. Niedawno temu ukończyła 26t-y sezon w Operze Metropolitan w New Yorku. Madame Savage rozpoczęła karjerę swą przed 47-miu laty w Namur w Belgji, jako chórzystka operowa, i z iście kobiecą niedokładnością podaje wiek swój mówiąc, iż liczy „od 60-ciu do 70-ciu lat".

Miła i wesoła straż króla Sjamu

Straż przyboczna króla sjamskiego składa się z 80 najpiękniejszych dziewcząt, jakie można znaleźć w tem małem państewku.

RADY PRAKTYCZNE

Plamy od owoców lub wina, gdy są świeże zmywają się spirytusem, gdy zaś są już zadawnione, należy użyć wody chlorowej, „eau de Javelle".

Plamy od łupin orzechów włoskich. W celu usunięcia tych czarnych plam, trzeba je naprzód zmywać roztworem koperwasu, potem, po spłukaniu, roztworem soli szczawikowej, a na ostatku, gdy i ta już zostanie spłukaną, wilgotnym chlorkiem wapna. Jeśli plamy odrazu nie zginą, należy je zmyć wodą i znowu to działanie powtórzyć.

Plamy od farb olejnych na suknie dają się usunąć zapomocą siarku węgla. Zaschłe dawne plamy od farb olejnych ustępują pod działaniem chloroformu. Również dawne takie plamy można zniszczyć, smarując je oliwą lub niesolonem masłem, i pozostawiając je w takim stanie dopóty, dopóki farba nie zmięknie. Wtedy tłuszcz z farbą razem usuwa się zapomocą olejku terpentynowego lub benzyny.

Ze świata

Sztuczny deszcz

Już oddawna i w rozmaity sposób usiłowano fabrykować sztuczny deszcz w celu złagodzenia przykrych następstw zbyt długich okresów suszy. Jednym z najnowszych sposobów jest metoda, której wynalazcą jest pewien Japończyk. Za materjał do sztucznego deszczu obrał ów Japończyk sproszkowany lód. W celu wywołania deszczu należy wznieść się wysoko samolotem i zrzucić lodowy proszek na dany teren; każda cząstka lodu, oziębiając warstwę otaczającego ją powietrza, zgęszcza parę w niej zawartą i sama się w niej rozpuszcza. Woda, powstała z tej fuzji, łączy się z wodą, utworzoną przez kondensację pary atmosferycznej i powoduje spadek deszczu. W celu otrzymania 1 milimetra wody trzeba ok. 50 kg lodu (na 1 hektar).

ZAWALIDROGA MA GŁOS

Ciężki dzień będziemy dzisiaj mieli ze szwagrem spowodu, że on pojechał na rowerowe wyścigi do Berlina, a ja będę ze Szkopami po giembie się lał w Warszawie na bokserskiem meczu. Kaci wiedzą dlaczego to się tak po doktorsku nazywa, chociaż z lanalizą nic wspólnego nie ma. Ale się nazywa i mówi się trudno — nasze sportowe w nożne piłkie kopane i tyczką w siatkówkie szarpane prawo się do tego zastosować. Karność w sporcie musi być, bo inaczej wszystkie narodowości będą nas bili w kuchnię, jak w kaczy kuper. A do tego dopuścić nie można i dlatego ze szwagrem za sportowców nie zostaliśmy.

Jak tylko przeczytaliśmy w kurjerach, że nasze mogą od Niemców „lanie" otrzymać, odrazu powiedziałem do szwagra:

— Tak być nie może. Ty, Teoś, na rowerze będziesz się na Szkopach odgrywał, bo dorożką kiedyś powoziłeś i na komunikacyjne lekomocje masz smykałkie, a ja się za boks wezmę, jako, że co rok na Wielkanoc ciasto żonie muszę wyrabiać i w pięści swojej doświadczalność posiadam.

Odrazu tego samego dnia wzięliśmy się, jak to mówią za trening, żeby być po formie. Szwagier cały dzień w Welodromie siedział i praktyki rowerowej nabierał.

A ja znowuż z kiem się dało nieporozumienie towarzyskie zaczynałem, żeby się w niedzielę nie dać Niemcom wykołować.

Manifest dostałem przytem co się zowie. Giembę mnie zbili różne łobuzy w drobny mak, z łbem owiązanem cały tydzień chodziłem, ale zato teraz taki Piłat, Sipińszczak czy Majchrzycki to dla mnie nic! Jakbym któremu dał sierpowego przez lewe ramie w prawe oko to sie na nogach „ze śmiechu nie utrzyma."

To tyż w niedziele usiąde sobie blisko ringu i wrazie zobaczę, że kiepsko z naszem bratem, zaraz wyskakuje i naparzam Niemca, iak się należy.

Tak, że w boksie nie mamy się czego boić. Nie wiem tylko jak będzie z cyklistami. Bo chociaż szwagier pojechał razem z niemy w zeszłom niedzielę, jakoś nic o niem w gazetach nie piszą, tylko list wczoraj dostałem od niego, że podobnież do Sochaczewa dojeżdża i to na furmance, bo się na rowerze męczyć nie chce.

Faktycznie ma chłop racje, że siłe zostawia na ostatnie chwile przed samem Berlinem. Tylko żeby zdążył i żeby się gdzie po drodze nie zachlał.

Ale przypuszczam, że wątpię, żeby coś podobnego zrobił, bo tu przecież idzie o sportowe firmę całej naszej rodziny.

Ano! zobaczemy!

Co słychać w polityce?

Na marginesie przygotowujących się wielkich wydarzeń w polityce światowej, odbił się głośnym echem tragiczny zgon *królowej belgijskiej Astrid*. Oczy całego świata skierowały się ku temu narodowi, który po bohaterskich zmaganiach się w wielkiej wojnie, przeżył głęboko tragiczne wydarzenia lat ostatnich, jakie dotknęły tak ściśle z narodem związaną belgijską rodzinę królewską. Zaledwie półtora roku temu młody król Belgów, Leopold III pochował swego tragicznie zmarłego ojca, bohaterskiego Alberta I., gdy znów nad zamkiem królewskim zawisł cień czarnej żałoby. We wtorek złożone zostały do grobów królewskich zwłoki tragicznie zmarłej małżonki króla, królowej Astrid.

W tych ciężkich godzinach cały naród polski łączy się w głębokiej żałobie z narodem belgijskim i jego, jakże ciężko dotkniętym królem. W latach bohaterskich zmagań wojennych Polska objęta krwawą pożogą kierowała wzrok swój ku męczeńskiej Belgji, czując się z nią związaną więzami wspólnych uczuć i przeżyć. Dzieliliśmy z nią triumf zwycięstwa i dzielimy każdy jej ból.

*

Zarysowujące się coraz ostrzej niebezpieczeństwo nowej wojny, obudziło pogrzebane, zdawałoby się nadzieje Moskwy na wzniecenie w świecie pożaru powszechnej rewolucji. Ostatnie uchwały Komiternu wskazują, że nadzieje te nigdy w Moskwie nie wygasały. Rezultatem tych uchwał jest ostry protest Stanów Zjednoczonych, Anglji, Włoch, Łotwy oraz szeregu innych państw, które energicznie zwróciły się przeciwko propagowanemu przez Komitern mieszaniu się do spraw wewnętrznych obcych państw szerzenia w nich propagandy komunistycznej w kierunku przygotowania gruntu pod przyszły spodziewany przez Moskwę i przygotowywany pożar powszechnej rewolucji.

Protesty te mogą doprowadzić do rozluźnienia, jeśli nie do zerwania stosunków poszczególnych państw z Sowietami, co nie pozostałoby bez wpływu na sytuację polityczną we wschodniej Europie.

—o—

Najciekawsze audycje Polskiego Radja w Warszawie

od dnia 8. IX. do 14. IX. 1935 r.

Niedziela, dnia 8 września 1935 r.

9.00 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 9.03 Gazetka rolnicza 9.15 Muzyka 9.40 Dziennik poranny 9.50 Odczytanie programu na dzień bieżący 10.00 Muzyka 10.30 Nabożeństwo wraz z kazaniem 11.57 Sygnał czasu z Warszawskiego Obserwatorjum Astronomicznego 12.00 Hejnał z Wieży Marjackiej w Krakowie 12.05 Przegląd teatralny (lokalnie) 12.15 Poranek symfoniczny. W przerwie fragment słuchowiskowy, względnie fragment teatralny 13.00—13.20 14.00 Recytacje prozy 14.20 Muzyka 15.00 Godzina rolnika do 15.45 lokalnie 16.00 Audycja dla dzieci 16.15 Muzyka 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Muzyka taneczna 17.45 „Migawki regjonalne" kolejno z Kt., Kr., Lw., Łdz., Pz., Tr., Wr., Wl. 18.00 Muzyka 18.30 Słuchowisko 19.00 Zapowiedź programu na dzień następny 19.10 Koncert reklamowy 19.25 Wiadomości sportowe lokalne 19.30 Muzyka 19.45 Co czytać? 20.00 Muzyka 20.45 Wyjątki z pism Józefa Piłsudskiego 20.50 Dziennik wieczorny 21.00 „Na wesołej lwowskiej fali" 21.30 Podróżujmy felieton 21.45 Wiadomości sportowe ze wszystkich rozgłośni P. R. 22.00 Muzyka 23.00 Wiadomości meteorologiczne dla komunikacji lotniczej 23.05 Muzyka.

Poniedziałek, dnia 9 września 1935 r.

6.30 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 6.33 Pobudka do gimnastyki 6.34 Gimnastyka 6.50 Muzyka 7.20 Dziennik poranny 7.30 Muzyka 7.50 Odczytanie programu na dzień bieżący 7.55 Parę informacyj 8.00 Audycja dla szkół 8.10 Przerwa 11.57 Sygnał czasu z Warszawskiego Obserwatorjum Astronomicznego 12.00 Hejnał z Wieży Marjackiej w Krakowie 12.03 Dziennik południowy 12.15 Muzyka 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Przerwa dla Warszawy pracują: wszystkie rozgłośnie regjonalne 14.30 Przerwa dla wszystkich rozgłośni P.R. 15.15 Przegląd giełdowy 15.25 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka 16.00 Lekcja języka niemieckiego 16.15 Muzyka 16.45 Wesoły skecz 17.00 Pogadanka dla kobiet 17.15 Minuta poezji 17.20 Muzyka 17.50 Pogadanka przyrodnicza 18.00 Muzyka 18.30 Audycja dla dzieci 2-gi i 4-ty skrzynka dla dzieci 18.40 Życie kulturalne i artystyczne stolicy 18.45 Muzyka 19.00 Skrzynka rolnicza 19.10 Zapowiedź programu na dzień następny 19.20 Koncert reklamowy 19.35 Wiadomości sportowe lokalne 19.40 Wiadomości sportowe ogólne 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Audycja żołnierska 20.00 Audycja strzelecka 20.00 Muzyka 20.30 Muzyka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki Polski współczesnej 21.00 Muzyka 21.30 Wieczór literacki 22.00 Muzyka 23.00 Wiadomości meteorologiczne dla komunikacji lotniczej 23.05 Muzyka.

Wtorek, dnia 10 września 1935 r.

6.30 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 6.33 Pobudka do gimnastyki 6.34 Gimnastyka 6.50 Muzyka 7.20 Dziennik poranny 7.30 Muzyka 7.50 Odczytanie programu na dzień bieżący 7.55 Parę informacyj 8.00 Audycja dla szkół 8.10 Przerwa 11.57 Sygnał czasu z Warszawskiego Obserwatorjum Astronomicznego 12.00 Hejnał z Wieży Marjackiej w Krakowie 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.30 Muzyka 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Z rynku pracy 13.35 Przerwa dla Warszawy pracują: wszystkie rozgłośnie regjonalne 14.30 Przerwa dla wszystkich rozgłośni P. R. 15.15 Przegląd giełdowy 15.25 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka 16.00 Skrzynka P. K. O. 16.15 Muzyka 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Odczyt cykliczny 17.15 Muzyka 17.30 Encyklopedja mówiona 17.50 Skrzynka językowa 18.00 Muzyka 18.30 Szkic literacki 18.45 Muzyka 19.00 Wiadomości rolnicze 19.10 Zapowiedź programu na dzień następny 19.20 Koncert reklamowy 19.35 Wiadomości sportowe lokalne 19.40 Wiadomości sportowe ogólne 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Rozmowa Biura Studjów ze słuchaczami P. R. 20.00 Feljeton muzyczny 20.10 Muzyka. W przerwie — Dziennik wieczorny i Obrazki z Polski współcz. 20.10 Koncert symfoniczny z rozgłośni regjonalnych. W przerwie: — Dziennik wieczorny i obrazki z Polski współcz. 22.30 Feljeton 22.45 Odczyt w języku obcym 23.00 Wiadomości meteorologiczne dla komunikacji lotniczej 23.05 Muzyka.

Środa, dnia 11 września 1935 r.

6.30 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 6.33 Pobudka do gimnastyki 6.34 Gimnastyka 6.50 Muzyka 7.20 Dziennik poranny 7.30 Muzyka 7.50 Odczytanie programu na dzień bieżący 7.55 Parę informacyj 8.00 Audycja dla szkół 8.10 Przerwa 11.57 Sygnał czasu z Warszawskiego Obserwatorjum Astronomicznego 12.00 Hejnał z Wieży Marjackiej w Krakowie 12.03 Dziennik południowy 12.15 Pogadanka dla kobiet 12.30 Muzyka 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Przerwa dla Warszaw. Pracują: Wszystkie rozgłośnie regjonalne 14.30 Przerwa dla wszystkich rozgłośni P. R. 15.15 Przegląd giełdowy 15.25 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka 16.00 Audycja dla dzieci 16.20 Muzyka 16.45 Pogawędka o muzyce 17.00 Dyskutujemy 17.20 Muzyka 17.50 Świat się śmieje 18.00 Muzyka 18.30 Skrzynka ogólna 18.40 Życie kulturalne i artystyczne stolicy 18.45 Muzyka 19.00 Pogadanka rolnicza 19.10 Zapowiedź programu na dzień następny 19.20 Koncert reklamowy 19.35 Wiadomości sportowe lokalne 19.40 Wiadomości sportowe ogólne 19.50 Reportaż aktualny 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Koncert Chopinowski 21.35 Kwadrans poezyj. Szkic literacki 21.50 Zdobycze medycyny 22.00 Muzyka 23.00 Wiadomości meteorologiczne dla komunikacji lotniczej 23.05 Muzyka.

Czwartek, dnia 12 września 1935 r.

6.30 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 6.33 Pobudka do gimnastyki 6.34 Gimnastyka 6.50 Muzyka 7.20 Dziennik poranny 7.30 Muzyka 7.50 Odczytanie programu na dzień bieżący 7.55 Parę informacyj (lokalnie) 8.00 Audycja dla szkół 8.10 Przerwa 11.57 Sygnał czasu z Warszawskiego Obserwatorjum Astronomicznego 12.00 Hejnał z Wieży Marjackiej w Krakowie 12.03 Dziennik południowy 12.15 Koncert szkolny 13.00 Muzyka 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Przerwa dla Warszawy pracują: Wszystkie rozgłośnie regjonalne 14.30 Przerwa dla wszystkich rozgłośni P. R. 15.15 Przegląd giełdowy 15.25 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka 16.00 Audycja dla dzieci 16.15 Muzyka 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Odczyt cykliczny 17.15 Muzyka 17.50 Książka i wiedza 18.00 Muzyka 18.30 Film, plastyka, architektura 18.40 Jak spędzić święto? 18.45 Muzyka 19.00 Nowiny leśne (1-szy czwartek) 19.00 Wiadomości rolnicze (II-i, III-i IV-ty czwartek 19.10 Zapowiedź programu na dzień następny 19.20 Koncert reklamowy 19.35 Wiadomości sportowe lokalne 19.40 Wiadomości sportowe ogólne 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Słuchowisko (premjery — patrz omówienie programu ramowego) 21.30 Muzyka 22.00 Muzyka 23.00 Wiadomości meteorologiczne dla komunikacji lotniczej 23.05 Muzyka

Piątek, dnia 13 września 1935 r.

6.30 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 6.33 Pobudka do gimnastyki 6.34 Gimnastyka 6.50 Muzyka 7.20 Dziennik poranny 7.30 Muzyka 7.50 Odczytanie programu na dzień bieżący 7.55 Parę informacyj 8.00 Audycja dla szkół 8.10 Przerwa 11.57 Sygnał czasu z Warszawskiego Obserwatorjum Astronomicznego 12.00 Hejnał z Wieży Marjackiej w Krakowie 12.03 Dziennik południowy 12.15 Audycja dla szkół 12.40 Muzyka 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Z rynku pracy 13.35 Przerwa dla Warszawy pracują: wszystkie rozgłośnie regjonalne 14.30 Przerwa dla wszystkich rozgłośni P. R. 15.15 Przegląd giełdowy 15.25 Wiadomości o eksporcie polskim 15.30 Muzyka 16.00 Pogadanka dla chorych (ze Lwowa) 16.15 Muzyka (ze Lwowa) 16.45 Audycja dla dzieci 17.00 Reportaż 17.15 Minuta poezji 17.20 Muzyka 17.50 Poradnik sportowy 18.00 Muzyka 18.30 Pogadanka aktualna 18.45 Życie kulturalne i artystyczne stolicy 18.45 Muzyka 19.00 Skrzynka rolnicza 19.10 Zapowiedź programu na dzień następny 19.20 Koncert reklamowy 19.35 Wiadomości sportowe lokalne 19.40 Wiadomości sportowe ogólne 19.50 Aktualny monolog 20.00 Feljeton muzyczny (I-y i III-i piątek) 20.00 Biuro Studjów rozmawia ze słuchaczami P. R. (II-i i IV-y piątek) 20.10 Koncert symf. z Filharm. Warszawskiej (I-y i III piątek). W przerwie: Dziennik wieczorny oraz Obrazki z Polski współczesnej 20.10 Muzyka (II-i i IV-y piątek). W przerwie: Dziennik wieczorny oraz Obrazki z Polski współczesnej 22.30 Muzyka 23.00 Wiadomości meteorologiczne dla komunikacji lotniczej. 23.05 Muzyka

Sobota, dnia 14 września 1935 r.

6.30 Pieśń „Kiedy ranne wstają zorze" 6.33 Pobudka do gimnastyki 6.34 Gimnastyka 6.50 Muzyka 7.20 Dziennik poranny 7.30 Muzyka 7.50 Odczytanie programu na dzień bieżący 7.55 Parę informacyj 8.00 Audycja dla szkół 8.10 Przerwa 11.57 Sygnał czasu z Warszawskiego Obserwatorjum Astronomicznego 12.00 Hejnał z Wieży Marjackiej w Krakowie 12.03 Dziennik południowy 12.15 Muzyka 13.25 Chwilka dla kobiet 13.30 Przerwa dla Warszawy pracują: wszystkie rozgłośnie regjonalne 14.30 Muzyka 15.00 Recytacje prozy 15.15 Przegląd giełdowy 15.25 Nasz handel morski 15.30 Muzyka 16.00 Lekcja języka francuskiego 16.15 Muzyka 16.30 Skrzynka techniczna red. W. Frenkiel 16.45 Cała Polska śpiewa 17.00 Nabożeństwo z Ostrej Bramy w Wilnie 17.00 Odczyt cykliczny 17.15 Nowości z płyt 17.45 Świat naszych zwierząt 17.50 Nasze miasta i miasteczka 18.00 Słuchowisko dla dzieci 18.30 Przegląd wydawnictw rolniczych 18.40 Pogadanka społeczna 18.45 Muzyka 19.00 Przegląd prasy rolniczej 19.00 Wiadomości rolnicze 19.00 Przegląd wydawnictw rolniczych 19.10 Zapowiedź programu na dzień następny 19.20 Koncert reklamowy 19.35 Wiadomości sportowe lokalne 19.40 Wiadomości sportowe ogólne 19.50 Pogadanka aktualna 20.00 Muzyka lekka 20.45 Dziennik wieczorny 20.55 Obrazki z Polski współczesnej 21.00 Audycja dla Polaków z zagranicy 21.30 Wesoła Syrena 21.30 Humor regjonalny 22.00 Muzyka 23.00 Wiadomości meteorologiczne dla komunikacji lotniczej 23.05 Muzyka.

CHWILA ZASTANOWIENIA

KONIKÓWKA
ul. W. M. z Łysinina

trza	zo	mło	coś	tak
wać	dla	ba	by	do
sta	a	ro	u	też
sta	ży	ło	ści	ści

Ruchem konika szachowego odczytać rozwiązanie.

ZADANIE GEOGRAFICZNE
uł. D. W.

×	—	—	—	—	—	—	—	—	—
—	—	—	—	—	×	—	—	—	—
	—	—	×	—	—	—	—	—	
×	—	—	—	—	—	—	—	—	—
—	—	×	—	—	—	—	—	—	—
—	—	—	—	—	—	×	—	—	—

Wstawiając na miejsca kresek i krzyżyków litery, ułożyć sześć nazw krajów europejskich, w ten sposób, aby na miejscu krzyżyków też powstała nazwa państwa.

Za rozwiązanie powyższych zadań redakcja wyznacza nagrodę w postaci książek. Rozwiązania należy nadsyłać do piątku 13 września br.

Trafne rozwiązanie zadań z nr. 34 nadesłali: Helena Ostrowska — Szerokie, Wacław Bultrowicz — Gniezno, Irena Wolska — Nieśwież, Wiktor Łabędzki — Gdynia, Ireneusz Karpowicz — Warszawa, Anna Zwańska — Ślesin, M. Komosiński — Poznań, Roman Komosiński — Poznań, Sergjusz Karski — Zaleszczyki, Marja Sobiniewiczówna — Kraków.

Nagrody w drodze losowania przypadły: Romanowi Komosińskiemu z Poznania i Marji Sobiniewiczównie z Krakowa.

—o—

Wśród warjatów

Upiór zamku Sokolskich

(Romans)

52)

„Potem zacznie mnie przyciskać do muru, zażąda pieniędzy odemnie, pod groźbą zechce znacznej sumy, może połowy całego mego majątku, a ja, — ja będę musiał mu wypłacić, inaczej mógłby mnie zdradzić, zedrzeć mi maskę z twarzy, ha, do tego nie dopuszczę, nie mam wcale ochoty zawrzeć znajomości z katem!

„Ale, pieniędzy także nie myślę z rąk wypuszczać, nie dam się obrabować!“ zakrzyknął Morizano, drżąc na całem ciele. W piersi począł mu się burzyć demon skąpstwa, który już i tak opanował całe jego jestestwo, coraz silniej, coraz potężniej. „Nie mam ochoty dzielić się z nimi, zapracowałem sobie ten grosz dla siebie, tylko dla siebie! Nie, — przenigdy — ani centa nie wypuszczę z ręki, nic im nie dam, raczej popełnię zbrodnię!“

Straszne postanowienie odzwierciadliło się w krogulczych oczach skąpca, a był to człowiek, który, gdy się raz na coś zdecyduje — doprowadza zawsze do skutku.

LXXV.

Sposób uzdrowienia znaleziony!

Tymczasem doktór Henryk Haler kroczył powoli po gościńcu w kierunku zamku Sokolskich. — Sam niewiedział, dlaczego duszę jego opanowały nagle jakieś dziwne, pełne smutku przeczucia. Przecież nic mu się nie stało, — nic takiego się nie wydarzyło, coby mogło mu dać powód do tego! Co za dziwne posępne obrazy snuły mu się po głowie, mimowoli, wszczepiały mu się coraz głębiej w wyobraźnię!

Rozmowa z doktorem Morizano zrobiła na nim dziwnie przygnębiające wrażenie, usposobiła go jakoś melancholijnie.

Ten stary doktór nie podobał mu się. Co więcej! Ten mężczyzna wzbudził w nim zaraz od pierwszego wejrzenia odrazę, wstręt ba, jakiś niczem nie dający się objaśnić strach, uczucie trwogi, przerażenia owładnęło nim podczas całej jego rozmowy z tym starcem, musiał się zmuszać do tego, aby nie zrobić głupstwa, aby nie powstać i nie odejść, nie mówiąc dlaczego!

Powtórnie zaczął się zastanawiać nad tem, gdzie on już raz widział to niesympatyczne oblicze, czy spotkał się już może kiedykolwiek w życiu z tym odrazę wzbudzającym człowiekiem!

„Te oczy, te oczy!“ zawołał Henryk, „ja musiałem je już gdzieś widzieć w mojem życiu! Tak, te zielono-siwe oczy prześladowały mnie już nieraz w moich snach, a przecież, wiem to na pewno, że nigdy jeszcze nie spotkałem się z doktorem Morizano, bo i gdzieżby to mogło mieć miejsce. — W Paryżu? On może nie widział jeszcze francuskiej stolicy!“

Zatrzymał się nagle w swoim marszu, jakaś silna obawa wstrząsnęła nim całym, z trudnością chwytał powietrze w płuca.

„Nie w Paryżu!“ zawołał porywczo, „nie w Berlinie, to już dawniej o wiele dawniej, ha, wiem już, w Poznaniu musiało to być!

„Ten doktór Morizano to wcielenie mego snu młodocianego. Jakem jeszcze był chłopakiem, te same oczy kierowały się ku mnie, ten sam głos obijał mi się o uszy. Tak, czuję to dokładnie, to nie przeczucie tylko, to chyba pewność! Z tym człowiekiem spotkałem się, kiedy jeszcze zamieszkiwałem razem z matką w Poznaniu, ha, wówczas dobrze nam się powodziło, nasze mieszkanie nie było na poddaszu, wówczas mieszkaliśmy we wielkim ,ładnym, jasnym, elegancko urządzonym domu. Ba, jeżeli się nie mylę, dom ten należał nawet do nas!

„Wszechmocny Boże, czy ja warjuję? Na Boga, precz z temi myślami, — precz z temi przypomnieniami, nie chcę tych wspomnień młodocianych, precz z mojej głowy, precz!

Henryk wyciągnął chustkę do nosa i począł sobie obcierać pot z czoła, który mu wystąpił we wielkich kroplach. Począł się chłodzić chusteczką, — wciągnął sporą dozę powietrza do płuc i pomaszerował dalej.

Gwałtem chciał zmienić bieg swych myśli, sprowadzić je na inne tory, naturalnie począł rozmyślać o czemś przyjemnem, o Anielci.

Całą siłą fantazji przywołał sobie do duszy obraz ukochanej dziewczyny. Myślał o swojej matce, jak obie siedzą obecnie w małym domku w Paryżu. O tej porze zasiadają już zapewne do obiadu, rozmawiają może o nim! Zdało mu się, że słyszy ich głosy, rozumie ich słowa, dziwna jakaś tęsknota opanowała go. Coby dał zato, żeby tak miał skrzydła i mógł ulecieć daleko — tam, gdzie zostawił dwa poczciwe, kochające go serca!

„Nie powinienem był opuszczać Paryża!“ rzekł sam do siebie, „nie powinienem się był rozłączać z ukochaną moją matką! I to właśnie w tej chwili byłem zmuszony porzucić wszystko, co mi najdroższe, kiedy miał się rozstrzygnąć mój los. Mój Boże, uprosiła sobie chwilę rozmysłu, moje drogie dziecko, moja kochana Anielcia! O ja wiem napewno, że zgodzi się na wszystko, jak osobiście przed nią się zjawię! To niepodobna, aby mnie odrzuciła. Musi przecież odczuwać, jak poczciwe mam względem niej zamiary, jak wiernie ją kocham, chociażby nawet mnie nie kochała, taka silna miłość, jak moja względem niej, musi wszystko pokonać, — musi zrodzić zarodek miłości, rozdmuchać to zarzewie! O, ja wiem, że będę szczęśliwy!“

Henryk doszedł do furty ogrodowej zamku Sokolskich. Otworzył ją i wszedł do małego pawilonu, który zamieszkała słaba. Przeszedł przedpokój, potem mały salonik, który dla niego został urządzonym, następnie wkroczył do swojej sypialni.

Na progu stanął bez ruchu, zadziwiony.

W pokoju swoim ujrzał szaloną, biedną, nieszczęsną Almę. Stała jak posąg nieruchomo z rękoma założonemi na piersi, z podniesioną głową, z oczami skierowanemi w jeden punkt na ścianie.

Oczy jej wpiły się formalnie w jedno miejsce, w którem tuż nad biurkiem doktora był umieszczony obraz tej dziewczyny, którą Henryk pokochał tak silnie.

Doktor nie ruszał się. Zatrzymywał oddech, aby tylko nie spłoszyć słabej, aby jej nie przestraszyć, gdyż w oczach jej odkrył błyski, błyski bardzo dla niego pożądane.

Zdało mu się, że całe oblicze chorej wypiękniało, wypogodniało, jakby cała wiązka płomieni słonecznych wpadła do duszy chorej, rozpędzając ciemne chmury zakrywające jej pogodny horyzont. Henryk zauważył, że oczy Almy rozjaśniły się, nie miały już tej sztywnej, zdrętwiałej nieruchomości pierwotnej, która cechuje wzrok szalonego. Zdało mu się naraz, że to nie chora, tylko zdrowa jakaś niewiasta niepotrzebująca opieki.

Henryk musiał mimowoli wymalować sobie w pamięci obraz swojej matki. Tak i ona niezawodnie stanęłaby zdziwiona przed portretem jego, gdyby niespodzianie odkryła go gdzieś przypadkowo, — tak samo skrzyżowałaby ręce na piersi, takim samym smętnym, ale i jasnym zarazem wzrokiem spoglądałaby na drogie rysy kochanego syna.

Pomału i cicho przysunął się Henryk do szalonej. Nie słyszała go, tak była zaczarowana głęboko widokiem obrazu.

Nawet kiedy wymienił jej imię, nie odwróciła się, cały czas wzrok jej był skierowany na jedno i to samo miejsce, gdzie wisiał obraz, zdała się formalnie pożerać go oczami, wpajać się weń całem jestestwem. Tęskny uśmiech igrał na jej ustach, chociaż oczy jej odzwierciadlały jakieś wielkie szczęście!

Lalka, którą nieszczęsna obłąkana bawiła się cały czas, jak dzieckiem, o którą drżała, która wedle jej przekonania była otrutą przez nędzników jej córką, leżała teraz u jej nóg. Musiała widocznie upadając uderzyć głową o krawędź stolika, bo porcelana była roztrzaskana na drobne kawałki.

„Almo!“ zawołał doktór Haler powtórnie przyciszonym głosem.

I teraz zdawała się nie słyszeć, bo nie odwróciła głowy.

Dopiero kiedy głośno zakrzyknął na nią, pochylając się do jej ucha, drgnęła lekko, — obróciła się i zobaczywszy doktora, — złapała go za obie ręce, przyciągnęła bliżej do siebie i poczęła szeptać mu do ucha, wskazując na obraz:

„Tam, — ta piękna dziewczyna, to moje dziecko, moja ukochana córka, — znalazłam ją przecież!“

Z płaczem rzuciła się na pierś doktora, który podtrzymał ją obu rękami. Głowę swą położyła na jego ramieniu. Młody lekarz począł jej z współczuciem odgarniać siwe włosy z czoła, szeptając z cicha:

„Biedne stworzenie! Wymaginowała sobie, że widzi swoje dziecię w tym obrazie, a to przecież portret Anielci, w który się tak zapatrzyła!“



Tragicznie zmarła królowa Belgów Astrid w towarzystwie swego męża Leopolda III.

„Anielci!“ krzyknęła nagle obłąkana takim przeraźliwym głosem, że aż doktór zadrżał do szpiku kości.

„Anielcia, tak, to moja Anielcia, moja ukochana, droga! — Panie doktorze, oni mi ją ukradli, wydarli mi z ramion i uprowadzili, ale to ona, popatrz pan to jej obraz, jaka podobna do mnie, tak wyglądałam jak on mnie jeszcze pieścił! Ach, to moje dziecko, widzisz pan, panie doktorze, nie, to za wiele, — to za wiele dla mnie.“

Bezprzytomna padła w tej chwili w objęcia doktora. Zaniósł ją na sofę i położył głowę jej na miękką poduszkę sam zaś powrócił do obrazu Anielci. Wpatrzył się weń długo. Czy jego umysł pomieszał się, czy może te dzikie, pełne szczęścia i smutku zarazem napady biednej szalonej podziałały tak na jego nerwy? Widział nagle jasno podobieństwo pomiędzy rysami Anielci, a rysami Almy!

To ten sam kształt oblicza, te same formy głowy, nawet oczy! Jakkolwiek z początku nieprawdopodobieństwem zdawało się to młodemu dokotrowi, przecież nie mógł zaprzeczyć, że ten marzący wzrok jego Anielci miał wiele podobieństwa do wzroku biednej Almy! Podobieństwo to nie polegało może na barwie oczu, ale to spojrzenie to wdzięczne ujmujące spojrzenie, które serce każdego natychmiast podbijało, było wspólne u tych dwóch kobiet.

„Ha, niechże będzie, jak chce!“ rzekł sam do siebie Haler, odstępując od obrazu, „wiele dobrego zdziałała ta podobizna dla chorej; poruszyła nagle całym jej systemem nerwowym! Widok ten zaraz poraz pierwszy napełnił biedną chorą nadzieją! A to tak potrzebne dla niej! Będę ją częściej prowadził tutaj przed ten obraz; niech się wpatruje nawet przez dłuższy czas w tę podobiznę, choćby to miało być tylko urojeniem, ułudą, dobre i to, bo to może ją wyleczyć ze szału!“

Pospieszył powtórnie do sofy. Alma zbudziła się już, z otwartemi oczyma leżała na wznak, przytomna.

„Kochany doktorze!“ poczęła prosić słabym głosem, „proszę mi pozwolić, że popatrzę jeszcze raz na ten obraz!“

„Tylko wówczas pozwolę, jeżeli mi pani przyrzecze, że zachowa spokój umysłu!“ odpowiedział doktór Haler.

„Przyrzekam, będę spokojna, chcę tylko zobaczyć jeszcze raz tę słodką twarzyczkę.“

Zadziwienie i zdumienie doktora Halera rosło z minuty na minutę. Tak rozsądnie, tak logicznie nie mówiła do niego chora jeszcze ani razu podczas jego pobytu w zamku.

Jednak nie śmiał się poddawać jakimś śmiałym nadziejom, choroba nie ustąpiła jeszcze z niej, stare cierpienie tkwiło ciągle w jej umyśle, lada chwila, a mogło wybuchnąć napowrót ze zdwojoną siłą. Haler poprowadził nieszczęsną kobietę znowu przed obraz, z równem oczarowaniem i zajęciem spoglądała po raz drugi na podobiznę!

„Oto widzę moje dziecko“! wołała wyciągając swoje wychudłe, niebieskiemi żyłkami poznaczone ramiona do obrazu. „Gdziekolwiek jesteś moje dziecko, błogosławieństwo twojej matki spoczywa na tobie, ukochany mój skarbie! Ach, gdybym mogła być blisko ciebie!“

Nowy symptom polepszenia ukazał się u słabej: w oczach zabłysły jej łzy, wielkie perły zawisły u rzęsów, spadając i tocząc się powoli po policzkach. To dziwne, a stary Walenty zapewniał doktora, że biedna Alma od całego szeregu lat nie płakała.

Łzy znamionują ulgę w boleści, łzy są symptomem polepszenia stanu tam, gdzie się rozchodzi o chorobę umysłu, pomyślał sobie lekarz w duszy.

„Och, gdybym ja mogła ją ujrzeć!“ wybuchła Alma z łkaniem, „gdybym ją mogła choć jedyny raz przycisnąć do piersi! Doktorze, przyprowadź, przywieź mi pan moje dziecko! Bóg pana wynagrodzi za to, błogosławieństwo biednej, zrozpaczonej matki nie zejdzie z pańskiej głowy!“

„Przywieź pan moje dziecko!“ Słowa te wpadły jakby jasna błyskawica do duszy młodego lekarza.

Prawda, jeżeli już obraz tak głębokie wrażenie uczynił na umysł chorej, polepszył w tak znaczny sposób jej stan, cóż dopiero za cuda musiałby sprawić rzeczywisty widok żywej Anielci!

Ale może na widok żywej pozna swój błąd? Może zobaczywszy Anielcię przyjdzie do przekonania, że się łudziła, że to nie jej dziecko, tylko jakaś obca, która tylko podobieństwem rysów przypomina jej córkę!

Nad tem musiał się dokładnie zastanowić! Z drugiej strony jednak młody lekarz przypominał sobie dobrze podobne zdarzenia, które obserwował podczas swojej praktyki w szpitalach i w domach obłąkanych. Przypomniał sobie jednego mężczyznę, który, wskutek znacznych przegranych na giełdzie stracił swój cały majątek.

Pożałowania godny ten mąż, który, przedtem rozporządzał znacznymi kapitałami, znajdował się obecnie w jednym z zakładów dla obłąkanych prowincji pruskiej.



Zdjęcie przedstawia królową Astrid krótko po koronacji.

Aby go choć trochę uspokoić, musiano mu dawać do czytania kursy papierów, wycinki z gazet. Każdą razą po przeglądnięciu tychże wołał boleśnie:

„Jeszcze ciągle brakuje numer 350-ty“.

Przez dłuższy czas usiłowali doktorzy wyleczyć go z tego szału, a był to rzeczywisty szał, bo jak się później pokazało, jakaś część majątku pozostała mu nienaruszona.

Żona jego podjąwszy pieniądze ulokowała go w prywatnym zakładzie, gdzie miał lepszą opiekę i pielęgnację. W tym właśnie poznał go doktor Haler.

Starszy lekarz tego zakładu użył dziwnego środka, aby wyleczyć swego pacjenta. Kazał sporządzić osobną gazetę, w której w kursach dotyczących papierów kazał umieścić numer 350-ty.

Gazetę tę przyniesiono jak zwykle jednego dnia do pokoju chorego, jak zawsze tak i teraz czekał tylko na to chory, z pospiechem rzucił się do niej. Zaledwie zobaczył cyfrę 350 w dotyczącej rubryce, porwał się ze siedzenia, począł przyciskać zmięty papier do piersi, wołając z uniesieniem:

Uratowanym, nie potrzebuję umierać, giełda nie zrujnowała mnie!“

Od tego dnia polepszał się ciągle jego stan. W kilku tygodniach wyszedł zdrowy ze zakładu i zamieszkał u swojej żony, która troskliwą pielęgnacją i ciepłem przyprowadziła go znowu do pierwotnej energji i zdrowotności.

W tym wypadku podziałało więc tak cudownie urojenie, szał został sparaliżowany drugim szałem.

Młody lekarz przypominał sobie również jeszcze i drugi wypadek.

Młodej, ładnej mężatce, córce bogatego bankiera, która wyszła zamąż za jednego malarza, umarł wkrótce po połogu jej maleńki synek. Cieszyła się już przedtem ogromnie na to, że go wkrótce zobaczy, była szczęśliwą, że go dostała.

Kiedy jej powiedziano, że synek jej umarł, zasłabła ciężko i popadła w czarną melancholję. Melancholja ta wzmagała się z każdym dniem aż do szału.

Nieszczęsna uciekła z domu swego małżonka, znaleziono ją na torze kole-

jowym i przytrzymano jeszcze wczas, bo właśnie chciała się rzucić pod koła nadjeżdżającego pociągu. Jakby cudem udało się dzielnemu budnikowi uratować biedną.

Po kilku miesiącach zaszła znowu w ciążę. Uważano na nią jeszcze pilniej, aby w tym stanie nie zrobiła znowu jakiego głupstwa. Pewnego dnia, po upływie dziewięciu miesięcy, porodziła chłopaka! Drżeli wszyscy o jej życie, bo przedstawiano sobie, że widok drugiego dziecka tem żywiej przypomni jej stratę pierwszego i tem gorzej podziała na jej stan umysłu! Zaledwie jednak położono jej na ręce dziecko, poczęła gwałtownie przyciskać je do piersi.

Oczy poczęły nabierać żywszego kolorytu, ze łzami zawołała:

„Ach, jakże strasznie żartowaliście ze mną! Moje dziecko żyje jeszcze, nie umarło, trzymam przecież je na rękach, widzę je, czuję, Bogu dzięki, mój chłopak żyje!“

Biedna ta matka była jak najświęciej przekonaną, że to dziecko, to jej pierwszy chłopak, którego porodziła. Naturalnie nie sprzeciwiano się jej i pozostawiono ją dalej w tem błędnem mniemaniu.

Fałszywe to urojenie przyprowadziło ją z biegiem czasu znowu do zdrowia.

„Dlaczego nie mógłby się i tutaj wydarzyć podobny przypadek?“ pytał sam siebie doktor Haler. „Dlaczego nie miałaby słaba sobie wyimaginować, że Anielcia, jego przyszła narzeczona, jest jej córką! Może właśnie pierwsze spotkanie słabej z urojoną córką wywrze na niej tak zbawienny wpływ, że ciemne te chmury, które pokryły jej umysł rozpierzchną się i że zupełnie wyzdrowieje.“

Doktor Haler powziął niezłomne postanowienie.

Łagodnie, ale stanowczo odwiódł chorą od obrazu, z którym nie chciała się rozłączać.

Z trudem tylko potrafił wyprowadzić ją ze swego pokoju pod przyrzeczeniem, że sprowadzi do niej jej dziecko, że odda jej samej w ręce ukochaną córkę.

Biedna Alma chciało go koniecznie całować po rękach, tak ją już samo przyrzeczenie roztkliwiło.

Doktor, oddawszy słabą pod opiekę starej służącej, która się nią specjalnie zajmowała, usunął się do swego pokoju. Usiadł przy biurku i nie zwlekając napisał następujące słowa na kartce papieru:

„Pani doktorowa Halerowa,
Paryż, Rue des Etiennes.

Przyjeżdżaj natychmiast razem z Anielcią do mnie. Obecność Anielci niezbędna w celach uzdrowienia umysłu biednej obłąkanej. Oczekuję was już jutro.

Tysiące całusów

Henryk.“

Zadzwonił. Jak tylko zjawił się Walenty, oddał mu kartkę z słowami:

„Walenty, nadajcie ten telegram natychmiast na poczcie. To bardzo ważne, od tego telegramu zawisło prawdopodobnie uzdrowienie biednej Almy.“



O wielkiej popularności artysty filmowego Ramona Novaro świadczy niniejszy obrazek. Otóż Novaro przyjechał ostatnio do Londynu, gdzie tak gwałtownie „zaatakowany“ został przez swe wielbicielki, pragnące autografów, że musiał oddać się pod eskortą kilkunastu policjantów, którzy wydarli go z tłumu i odprowadzili do hotelu

LXXVI.

Walka duszy

Hrabia Zygmunt Sokolski cieszył się nadzwyczaj, że nieporozumienie jakie panowało między Kazimierzem a Lolą, — te chmury nawalne jakie przysłoniły horyzont szczęścia małżeńskiego obojga, — jak sam się wyrażał, — znikły, — ustąpiły miejsca blaskowi słonecznemu.

Z dumą gratulował sobie sam to dzieło, — był przekonanym, że to jego tylko zasługa, że odkrył tę zdradę, to podstępne kłamstwo, którego ofiarą był tak długo biedny Kazimierz.

Naturalnie nie chwalił się z tem przed nikim. Zamknął to sam w sobie jako tajemnicę, nawet Elzie Rodeń nie wspominał nic o swojej rozmowie z Kazimierzem. Nie opowiedział jej ani słowa o tem nieporozumieniu, o nawróceniu się Kazimierza, bo i pocóż? Pocóż miał wywlekać napowrót wszystkie te brudy?

Dziewczyna ta, którą pokochał Kazimierz, była niezawodnie wyrafinowaną komedjantką, która chciała usidlić Kazimierza.

Zygmunt w nieszczęsnem swojem pożyciu z Arabellą poznał serce kobiece z jego najgorszych stron, nie dziw, że pewne powątpiewanie zostało w nim jako plon doświadczenia.

Bogu dzięki, że potrafił otworzyć oczy Kazimierzowi. Teraz przynajmniej musiał być przekonanym młody hrabia, że dziewczyna ta, którą tak cenił jako ideał wszelkiej szlachetności, niewinności, dobroci, bezprawnie przybrała imię Anielci.

Naumyślnie przygotowała całą tę scenerję z domem obłąkanych, z doktorem Morizano, z uwięzieniem, aby tylko mogła go oszukać, — aby się zrobić interesującą i w ten sposób usidlić go tem łatwiej i rozkochać w sobie.

Kazimierz był znowu uprzejmy i miły. Z równą serdecznością jak ongi obcował z Zygmuntem i Elzą. Każde słowo jego, każde spojrzenie zdradzało, jaką sympatję i przywiązanie żywi względem Zygmunta, — jak bardzo go lubi i poważa.

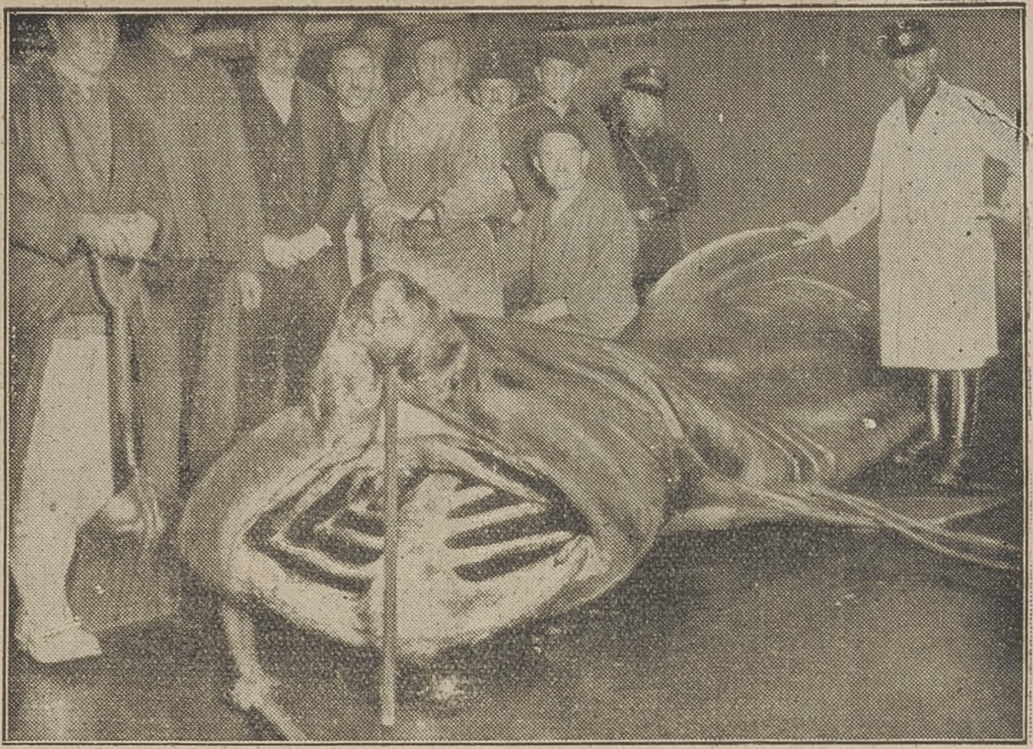
Dawny smutek, który uciskał młodego hrabiego przez tyle tygodni, znikł zupełnie z jego oblicza, — mieszał się znowu do wesołych rozmów, — z czasem zaczął prowadzić swój dawny, zwykły tryb życia. — Bywał w klubie, do którego należał również hrabia Zygmunt, — interesował się wszystkiem dobrem, szlachetnem i pięknem, — jednem słowem umysł jego zdawał się być uleczonym z dawnych smutków i melancholji.

Lola nie była wprawdzie smutną, ale przecież leżało coś w niej, coś stłumionego, skrytego.

W towarzystwie rzucała dowcipami, była wesołą i uprzejmą, — oczy jej ożywiały się rozbudzonym duchem, — policzki poczęły się różowić. Tylko kiedy była samą, kiedy sądziła, że nikt na nią nie patrzy, w takich chwilach Zygmunt łapał ją często na zamyśleniu, — wówczas oczy jej poczęły przybierać jakiś trwożliwy wyraz, jakby się bała, że tuż a tuż położy się na nią znienacka jakaś obca ręka, — przydusi ją do ziemi.

Jednak Zygmunt sądził, że ma klucz do rozwiązania tej zagadki. Teraz kiedy Kazimierz z gorącą miłością przylgnął powtórnie do niej, tęskniła zapewne za tą chwilą, kiedy będzie go mogła uszczęśliwić i wyznać mu słodką tajemnicę, że nosi owoc miłości w łonie, — dotychczas zapewne nie użyczyło jej niebo tej pociechy, dlatego od czasu do czasu była smutną i zamyśloną.

Tak przeszło lato, które Zygmunt w towarzystwie Kazimierza, Loli i Elzy, przepędził we francuskiem miejscu kąpielowem, — z powrotem do Paryża



Największy rekin, jakiego kiedykolwiek wyłowiono w Morzu Północnem, stał się przed kilku dniami łupem załogi statku rybackiego „Fridricus Rex" z Wesermünde (Niemcy). Potwór ten ważył „tylko" 100 centnarów. W żołądku tego rekina znaleziono 5 centnarów śledzi

wpadli znowu w wir zabaw i roztargnień, któremi wrze stolica w sezon jesienny.

Tak Kazimierz jak i Lola rzucili się w ten wir z uciechą i radością przynajmniej pozorną.

Przyjaźń pomiędzy Zygmuntem a Kazimierzem wzrastała z każdym dniem. Niktby nie powiedział, że to teść ze zięciem, — żyli ze sobą jak dwaj bracia, jak dwaj serdeczni przyjaciele, którzy nie znają tajemnic między sobą.

Kilka wieczorów w tygodniu spędzali w klubie, którego eleganckie salony zapraszać się zdawały do lektury, gry w karty lub bilard. Innym razem znowu wybierali się wspólnie na polowanie, słowem nie rozłączali się ze sobą.

Jednak Zygmunt mylił się sądząc, że serce Kazimierza to otwarta księga, w której może czytać ile mu się podoba.

Nie zauważył, że Kazimierz wysiłkiem woli tylko bawił się tak dobrze, że zmuszał się do uciechy i zabaw, — w rzeczywistości zaś nie znajdował w nich ani za centa przyjemności. Czuł się obowiązanym spłacić dług, wynagrodzić Zygmuntowi i Loli dawne zimne obejście, więc dlatego obcował z nimi tak często, bawił ich i bawił się rzekomo w ich towarzystwie. Musiał przecież po udowodnieniu winy tego dziewczęcia, które nazwał kiedyś swoją nimfą leśną, wyciągnąć z tego konieczne konkluzje i powrócić znowu do wesołego, ochoczego życia.

Dotychczas nosił w sercu uczucie miłości do Anielci niby skarb święty, do którego ze czcią tylko spoglądał; dlatego tylko sądził się uprawnionym, do odmawiania swojej młodej małżonce wszelkich pieszczot i uczuć, któreby się nie zgadzały z jego świętym ideałem. Teraz naturalnie, — teraz sądził, że niema prawa dalej odsuwać Loli od siebie, wzbraniać jej tego, coby ją mogło uczynić szczęśliwą.

Ale pomimo tego, że wszelkiemi siłami starał się okazać, że zapomniał już Anielcię, czuł jednak, że oszukuje tylko tem samem siebie samego i swoich najbliższych. Nie zdołał wyplenić z korzeniem tego głębokiego uczucia, które do takich rozmiarów wyrosło mu w sercu.

Anielcia nie schodziła mu z pamięci, pomimo tego, że po bohatersku walczył z tą swoją słabością. Nie mógł myśleć o niej obojętnie, tem mniej nie potrafił jej znienawidzieć, odrzucić, nią pogardzić!

Prawda, — wierzyć musiał Zygmuntowi i jego wywodom. Musiał, — jeżeli choć trochę logicznie był w stanie zastanowić się nad tem przedmiotem, — sam do siebie powiedzieć:

„Ona oszukała mnie. Chciała koniecznie odegrać rolę wychowanki sędziwego Dubois i córki nieszczęsnej Almy. To wszystko co mi opowiadała było kłamstwem i zdradą, — a kto potrafi kłamać i podchodzić, ten jest również złym i zepsutym człowiekiem, — tego nie można szanować, nie wolno kochać, choćby nas nęcił Bóg wie jak śliczną, anielską twarzyczką."

Jednak, — pomimo wszelkich tych rozumowań nie zdołał Kazimierz zapomnieć Anielci, nie potrafił zaprzestać swoich marzeń o niej, — obraz jej nie schodził mu z pamięci.

Często, kiedy wyjechał konno w zaciszne miejsce, powtarzał na pamięć wszystkie rozmowy jakie z nią prowadził, rozbierał pojedyńcze słowa wyszłe z jej ust, przywoływał sobie jej obraz przed duszę.

Wówczas ogarniała go taka rozpacz, takie zniechęcenie do życia, kiedy musiał pomyśleć, że wszystkie te spojrzenia, miny, słowa to łgarstwo wierutne, że najchętniej powiesiłby się na pierwszej lepszej gałęzi w lesie, aby tylko móc uciec od tego strasznego przekonania, że ta święta, czysta, idealna Anielcia nie była niczem więcej jak dobrą aktorką.

Tem więcej go to bolało, że musiał tak myśleć o umarłej, że skalano mu czystą pamięć jego anioła!

Ach, gdyby ona żyła, natychmiast pospieszyłby do niej, wziął by jak ongiś ręce jej w swoje dłonie, patrzałby bez przestanku w jej cudne, słodkie oczy, które tak mu się czyste wydawały jak woda źródlana, odzwierciedlająca lazur nieba i zapytałby ją bez ogródek:

„Czy to prawda, żeś ty mnie oszukała, okłamała, — ty nie jesteś tą, którą się być wydałaś? — Powiedz mi, moja Anielciu, całkiem szczerze i otwarcie, zwierz się przede mną."

Nie, nie, gdyby spotkała się z jego wzrokiem nie byłaby w stanie kłamać dalej, musiałaby wyznać prawdę, — a o prawdę rozchodziło mu się właśnie, coby dał za to, gdyby napewne mógł orzec: „Winna lub niewinna!"

Ale umarli milczą, nie mogą się bronić, nie mogą się oczyścić z potwarzy, które rzucają na ich nagrobek nielitościwi, lub w błąd wprowadzeni żyjący.

Tak więc nic innego nie pozostawało dla Kazimierza jak wątpliwość, niepewność aż do grobu. Coraz częściej i natarczywiej stawało przed nim to pytanie, na które nie znał odpowiedzi, — pytanie: Czy urocza moja nimfa leśna, moja słodka Anielcia, której obraz jeszcze ciągle tkwi w mej duszy niepokalany była rzeczywiście niewinnym aniołem, czy też była tem, czem ją uczynił mój przyjaciel i teść hrabia Zygmunt, to jest kłamczynią, podstępną komedjantką, — zuchwałą oszukanką, awanturnicą niebezpieczną???

LXXVI.

Napisana trucizna

Doktor Morizano miał już tyle zbrodni na sumieniu, tylu występków dopuścił się w ciągu swego życia, że, gdyby nie to, że serce jego było pokryte jakąś skorupę lodową, a czoło wytarte, nie mógłby ani jednej spokojnej chwili zażyć w życiu.

Nieraz, kiedy zbudził się w nocy, bo jak wiadomo starcy nie cieszą się długim, nieprzerwanym snem, zjawiały mu się przed oczyma najróżnorodniejsze postacie tych osób, których nieszczęście lub śmierć zawinił, ale myliłby się ktoś sądząc, że to działało przeraźliwie na jego nerwy, — z jak najzimniejszą krwią przewracał się na drugą stronę i zasypiał spokojnie...

Z równie zimną krwią patrzał w oczy niebezpieczeństwom. Co opowiadają, że zbrodniarzowi własne sumienie nie daje wypoczynku, nie odnosiło się do niego, bo on wogóle sumienia nie miał. Dzisiaj tylko wyjątkowo po odejściu doktora Halera był nadzwyczaj rozdrażniony i zaniepokojony jak nigdy jeszcze.

On, który przed niczem się nie wzdrygał, niczego się nie bał, zobaczył nagle całą swoją awanturniczą przeszłość przed sobą. Stanęła mu przed oczyma niby upiór, przerażając go swoim wyglądem, — nagle stracił wyrobioną wiekiem swoją pewność.



W mieście Ilfrecombe, w Stanach Zjednoczonych, panuje ciekawa tradycja: królową karnawału wybiera się nie w czasie karnawału, lecz kilka miesięcy wcześniej, latem. Oto kandydatki, które stanęły do konkursu

Od całego szeregu lat nie myślał ani o żonie, ani o synie, — zapomniał nawet z czasem jak wyglądają. Jeżeli przyszła mu kiedykolwiek myśl do głowy, wspomnienie na te obie nieszczęsne istoty, których imię splamił, hańbą okrył, musiał się mimowoli zapytywać:

„Jak oni właściwie wyglądają?“

Czuł się zupełnie pewnym i bezpiecznym. Był jak najmocniej przekonany, że oprócz jednej osoby nikt inny na świecie nie przypuszczałby nawet, że doktor Morizano, właściciel jednego z największych zakładów dla obłąkanych, niedaleko rezydencji, a ów doktor Maurycy Haler, który wskutek zbrodniczych operacyj został zasądzonym na dziesięć lat więzienia, po pięciu latach jednak podstępnem morderstwem zdołał się uwolnić, — że to jedna i ta sama osoba.

Aż za dobrze potrafił sprytny Morizano zatrzeć wszelkie ślady przeszłości za sobą, pod tym względem nie potrzebował się więc rzeczywiście niczego obawiać.

Wówczas, kiedy w nikczemny, podstępny sposób udało mu się zamordować stróża więziennego, przebrał się natychmiast w jego uniform i bezczelnie w pośród czuwających żołnierzy brzęcząc kluczami z podniesioną flaszką w dłoni przeszedł przez bramę, jakby niby to miał zamiar kupić sobie w naprzeciwległej gospodzie nieco piwa lub wódki.

Ponieważ zamknął stróża w celi swojej, ten biedak zaś nie był już w stanie wołać o pomoc, więc nie odkryto tego zamachu aż dopiero w dwie godziny, z tego przeciągu czasu umiał zaś więzień doskonale wykorzystać.

W kryminale zawarł Morizano znajomość z innym więźniem, który już przed rokiem został tam wtrąconym. Był to bogaty kupiec z Londynu, który podczas pobytu swego w Poznaniu tak dalece uniósł się gniewem, że przeciwnika swego uderzeniem pięści powalił na ziemię i o mało co nie zabił. Na tego „przyjaciela“ z kryminału wspomniał sobie Morizano i postanowił bądź co bądź odwiedzić go w Londynie. Dotarł rozmaitemi manowcami do portu i podczas zmroku wsunął się niepostrzeżenie na pokład statku, który był naładowany węglami i miał właśnie odbijać do Londynu.

„Jak szczur wsunął się na dół, na spód okrętu, — przykrył się cały węglami, tak, że tylko usta zostawił wolne gwoli oddychania, — i w tem nie do pozazdroszczenia położeniu przebył podróż morską do Anglji.

W kieszeni nieszczęśliwego dozorcy więziennego znalazł flaszkę koniaku i czekoladę, którą zapewne biedak chciał zanieść swoim dzieciom do domu, i tem żył przez czas podróży.

Pomimo tego o mało co nie postradał życia jednego pięknego poranku. Jeden z majtków dostał rozkaz oczyścić pewną część spodu okrętu z węgli. Naturalnie począł łopatą odrzucać z tego miejsca węgle na inne, między innemi także i na to, gdzie siedział zagrzebany Morizano.

Zagrzebany począł się dusić, coraz mniej powietrza mógł wciągać w płuca, a góra węgli przed nim rosła coraz więcej. Wreszcie opuścił majtek spód okrętu. Morizano wygrzebał się ostatkiem sił z pod czarnych kamieni, — czuł się uratowanym!

W Londynie udało mu się również niepostrzeżenie opuścić okręt, jak chyłkiem nań się dostał. Natychmiast postanowił odszukać swego „przyjaciela“.

Zanim opuścił okręt przyswoił sobie z niedomkniętej szafy pokoju dla majtków ubranie jednego z nich. To przywdział na brzegu morza i zginął w tłumie miljonowym, który przesuwa się nieustannie po ulicach stolicy.

Ale potrzebował pieniędzy, aby móc poszukać gdzieś za jakiemś schronieniem, — „przyjaciel“ musiał mu otworzyć kredyt, postanowił pod tym względem wykorzystać swoją znajomość aż do bezczelności.

Bogaty kupiec londyński przeraził się naturalnie niepomału, ujrzawszy nagle przed sobą swego współwięźnia Maurycego Halera.

W więzieniu był wprawdzie jego dobrym przyjacielem, ale za szwedzkim parawanem wszystkie ptaki popielate, — na wolności jednak różnią się bardzo tak głosem jak i upierzeniem, — można więc zrozumieć, że bogaty kupiec angielski nie czuł żadnej ochoty odnowić znajomości z więźniem z Poznania.

Miał zresztą do tego i inne ważne powody. Jego przyjaciele nie wiedzieli nic o tem, że przesiedział cztery lata w więzieniu. Żona jego opowiedziała wszystkim krewnym i znajomym, że mąż jej pojechał do Australji, aby tamże otworzyć filję swego składu.

A tu nagle stanął przed nim Maurycy Haler, bezczelnie uderzył go w łopatkę i śmiejąc się ironicznie zawołał:

„Ha, — jakże ci idzie, numerze 66-ty? — Widzę, że znakomicie, — to nie nasz kryminał, nie widzę ani zakratowanego okna, ani pryczy, ani szczerbatego dzbanka z wodą, — tu trochę ładniej jak u nas!“

Anglik zrozumiał natychmiast, że Haler chce tylko apelować do jego kieszeni, więc zapytał się go wprost, czy nie potrzebuje pieniędzy.

Po długim targu zgodzili się obaj na sumę 500 funtów szterlingów, za którą Haler zobowiązał się milczeć i przejechać się do tego trochę dalej, bo aż do Ameryki.

Ale zaledwie dostał pieniądze ani nie pomyślał na swoje przyrzeczenie. Spokojnie usadowił się w Londynie i pod przybranem obcem nazwiskiem Morizano rozpoczął tutaj swoją praktykę lekarską. Ponieważ był rzeczywiście zdolnym lekarzem, udało mu się w biedniejszej dzielnicy Londynu uzyskać niejaką sławę, — niedługo powiększyła się liczba jego kienteli w taki sposób, że był zmuszony wynająć sobie większe pomieszkanie.

Znowu był na najlepszej drodze, aby się stać szanowanym i zamożnym człowiekiem, cóż, kiedy wrodzone skąpstwo i chciwość zawiodły go znowu do tej zbrodniczej praktyki, za którą dostał się już raz za kraty.

Podczas nocy i mgły musiał uciekać z Londynu, ale nie bez pieniędzy. Zarobił sobie dotychczas już sporą sumkę, którą naturalnie zabrał ze sobą.

Ponieważ od tego czasu upłynęło już siedem lat, więc powrócił znowu do prowincji pruskiej w Poznańskie, tuż obok małej rezydencji książęcej odkupił od poprzednika zakład dla obłąkanych i począł go prowadzić pod zmienionem nazwiskiem na własną rękę. Naturalnie przedtem już postarał się o sfałszowane dokumenta, które mógł każdego czasu na żądanie przedłożyć policji.

Jeszcze nigdy nie był żaden podobny zakład w tak niesumienny sposób prowadzony jak zakład doktora Morizano, to miejsce pomocy dla biednych, nieszczęśliwych ludzi przerobił na scenę samowoli i zbrodni.

Naturalnie umiał zręcznie ukrywać wszelkie swoje sprawki i występki, — tem samem doszedł do wprawy skończonego łotra, — no i co najważniejsza majątek jego wzrastał z każdym rokiem coraz więcej.

Teraz, kiedy już miał zamiar usunąć się zupełnie i osiąść gdzieś w jakiejś stolicy, aby żyć spokojnie z kapitału, — teraz, tuż u końca swego wymarzonego celu miała mu się powinąć noga! — Ha, kiedy pomyślał, że żona jego i syn żyją, że ten ostatni przyjechał może tylko po to w te okolice, aby go wyśledzić, zdemaskować, albo conajmniej zedrzeć z pieniędzy, — ha, — myśl ta sama przyprowadzała go już do szaleństwa.

Całe popołudnie zamknął się w swojej pracowni, nie wpuszczając nikogo do siebie. Rozważał, układał, rozmyślał jakby najlepiej zniweczyć rodzące się niebezpieczeństwo.

„Muszę ich oboje zgładzić", powtarzał ciągle a ciągle ochrypłym głosem, „muszę się zapewnić przed nimi, aby mi nie wleźli kiedy w drogę. Najchętniej pojechałbym do Paryża, aby najprzód załatwić się z matką. Ale co też to za osioł ze mnie, — nawet nie spytałem się o jej adres, — a ten młody doktor ani słowem nie wspomniał mi, gdzie właściwie mieszka w Paryżu, — zresztą, choćby mi powiedział, — wyjawiłby prawdę? — Myślę, że nie."



Zdjęcie z ub. zimy przedstawiające Charlottę, najstarszą córkę królewskiej pary belgijskiej, która brała udział w męskiem przebraniu, na jednym z dziecięcych balików kostjumowych.

Nagle złapał się za łysinę i z radosnym wykrzykiem zawołał:

„Ha, — mam, — mam już znakomitą ideę. Tak, — tak będzie najlepiej. Alfred Robber musi mi pomóc, — natychmiast napiszę do niego. — Musi poszukać po całym Paryżu za panią Haler, która razem ze swym synem, młodym lekarzem, tam mieszka. — Alfred Robber to sprytny chłop, nie będzie go to kosztowało wiele zachodu, zresztą musi mi to zrobić czy chce czy nie chce. Muszę sobie przygotować prędko działającą truciznę, bo będę mu musiał ją posłać.

„Jego pseudo-adres jest mi znany", ciągnął dalej rozprawiając sam ze sobą, „potrzebuję tylko zaadresować do gospodarza pod „czerwoną kotką". On już mu doręczy list przeznaczony dla niego.

„Ale poco pisać, kiedy tu każda minuta droga, najlepiej będzie jak zatelegrafuję i to natychmiast. A więc do dzieła."

Morizano złapał za laskę i kapelusz i udał się spiesznym krokiem na pocztę.

Niedługo znalazł się w budynku głównej poczty.

W tej samej chwili, kiedy wstąpił do sali urzędowej, zauważył starego o siwych włosach ugalowanego służącego, który stał o kilka kroków przed nim.

„Ha, — jeżeli się nie mylę", wyszeptał Morizano, spoglądając bacznie na starca, „to liberja służących hrabiego Zygmunta Sokolskiego? Poznaję ją z dawnych czasów. Służba cała nosi tam zielone liberje ze złotem".

Przetarł okulary i wpatrzył się bystro w tylne guziki u fraka służącego. Były pozłacane z wyrytą literą „S" i koroną hrabiowską.

Nie było więc żadnej wątpliwości, że człowiek ten musiał należeć do służby hrabiego, zapewne przybywał ze zamku.

Ponieważ doktor Morizano nie był znanym, bo przed laty raz tylko pokazał się w zamku, więc nie potrzebował się obawiać, że służący go pozna, — mógł więc dokładnie obserwować go z tyłu i uważać na wszystkie jego gesta i ruchy.

Morizano przystąpił do pultu, na którym były rozłożone pióra i atrament i począł układać telegram przeznaczony dla Alfreda Robbera do Paryża.

Stary Walenty przystąpił tymczasem do okienka i wręczył urzędnikowi kartkę. Ten oglądnął ją dokładnie i oddał zaraz z powrotem staremu służącemu musztrując go od stóp do głowy i odzywając się do niego:

„Tego telegramu nie mogę przyjąć, bo adres jest zamazany i nieczytelny."

„Proszę wybaczyć, mój panie", odpowiedział stary Walenty, „to moja wina. Jak mi pan doktor wręczył kartkę nie zauważyłem, że pismo jeszcze nie zaschło, złożyłem ją we czworo, bom się spieszył i zamazałem wskutek nieuwagi."

„A więc doktor wręczył mu telegram", zamruczał Morizano zdwajając uwagę.

„Kto to zaświnił, to mi wszystko jedno!" zawołał urzędnik, który widocznie nie był w różowym humorze, „ale że ja mam odpowiedzialność co do dokładnego doręczenia tegoż, więc nie mogę go w tym stanie przyjąć."

„Proszę wybaczyć, mój panie", jąkał się stary Walenty, próbując się wyprostować, „ja jestem starym służącym pana hrabiego Sokolskiego, więc co do zaświnienia, — nie mogę pozwolić na takie wyrażenie."

„A cóż to innego takie zasmarowanie atramentem? — Zresztą nie mam czasu zabawiać się dalej, proszę odpisać telegram drugi raz, — tam leży druk, pióro i atrament, — potem załatwimy tę historję natychmiast."

„Grubjanin!" zamruczał stary Walenty, odwracając się od okienka ze złością, „co za impertynencki człowiek! — Służącego hrabstwa Sokolskich traktować w ten sposób bez względu na jego siwe włosy. — To wartoby donieść do przełożonego. — Co za fatalna historja, każe mi odpisywać, a moje ręce nieprzyzwyczajone do tego trzęsą się ze starości, że i pióra nie potrafią utrzymać. Ale co robić, nie mogę tego przecież odnosić z powrotem do zamku, — chcąc nie chcąc muszę usłuchać tego grubjana."

Walenty przystąpił do pultu tuż naprzeciw doktora Morizano.

„Do djabła", zamruczał stary doktór, „żebym tak mógł choć na minutę wglądnąć w tę kartę!"

W tej chwili załamał Walenty ręce, że mu aż palce trzeszczeć poczęły i zaczął biadać płaczliwym głosem:

(Ciąg dalszy w nast. numerze.)

HUMOR

W biurze parafjalnem

Bójcie się Boga! gospodarzu, macie lat 83 i jeszcze przychodzicie z zapowiedziami?

— To ino dla dzieci, proszę księdza dobrodzieja, żeby nie były sierotami.

— A w jakim wieku są te wasze dzieci?

— A no, chłopiec ma sześćdziesiąty czwarty, a dziewczynie to idzie na pięćdziesiąt siedem.

Fryzjer

— Prześliczny dzień, cudowna pogoda? — woła mistrz Zenon, klapiąc fryzjerskiemi nożyczkami. Można pomady? Cisza.

— A Włochy szykują się do wojny, proszę szanownego pana. Z Abisynją. Ciekawe, czy Liga Narodów wskóra coś. Wodę kolońską można?

Znów cisza. Niezrażony fryzjer ciągnie dalej:

— A Wiselka znów kilka of'ar pochłonęła. Ludzie nie uważają. Może masażyk? Czytałem w kurjerku, że nad morzem rekin pożarł dwie osoby... Puderku na twarz?

Znów głuche milczenie. Fryzjer kończy zabieg nieprzerwanie gawędząc.

— Dziś będą ciekawe wyścigi. Dostałem właśnie od znajomego niezawodne typy. Wygrają Oferma II, Leń, Ostatni, Patałach i Zawodna. Murowane typy... A teraz podczernimy wąsiki... dziękuję... szanowny pan płaci złoty pięćdziesiąt...

Dopiero w tej chwili fryzjer zorjentował się, że rozmawia sam do siebie, goląc się przed lustrem.

Złota myśl

— Nie taka bomba straszna, jak ją malują! — powiedział anarchista, wypijając bombę piwa.

Porównanie

— Moja teściowa jest jak dziennik.

— Co ty mówisz? Wszystko wie?

— Nie! Ale codziennie się ukazuje.

Skąpy bogacz

O bankierze S... opowiadają, że jest taki skąpy, że gdy wraca w nocy do domu, dzwoni do drzwi sąsiadów, aby nie zużywać własnego dzwonka.

Francuski dowcip

Deputowany X. niezmiernie czynny polityk, narzeka w towarzystwie na ogrom pracy społeczno-politycznej.

— Denerwuje mnie to wszystko, odbiera zdrowie i męczy.

— W takim razie, odzywa się ktoś z towarzystwa — dlaczego pan nie odpocznie kilka miesięcy w więzieniu?

Dwa westchnienia

Rozprawa w sądzie. Przed stołem sędziowskim staje się w charakterze świadka jakaś kobieta.

— Panna czy mężatka? — pyta sędzia. Kobieta westchnęła ciężko.

— Panna! dyktuje sędzia sekretarzowi, nie czekając na odpowiedź.

Po paru minutach ma zeznawać świadek-mężczyzna.

— Żonaty czy kawaler? — pyta sędzia.

Mężczyzna westchnął ciężko.

— Żonaty! — dyktuje sędzia.

Niewdzięczność

— Już pan nie śpiewa na koncertach więziennych?

— Nie. Obrazili mnie niewdzięczni więźniowie. Poszli po moim koncercie do dyrektora i narobili krzyku, że są niesłusznie gnębieni.

Katastrofa a wypadek

— Co to jest wypadek?

— Gdy dwoje młodych spotka się po latach rozstania.

— A co to jest: katastrofa?

— Gdy ci młodzi się pobiorą!

W sądzie

— Jest rzeczą znamienną, że oskarżony szedł za poszkodowanym przez całą Marszałkowską, Aleje Jerozolimskie i dopiero na Ochocie uderzył go łomem w głowę. Oskarżony za daleko się posunął...

— Święta racja, wysoki, sądzie, ja go chciałem już na Marszałkowskiej huknąć.

Nasze dzieci

— Tatusiu, tatusiu...

— A dajże mi spokój już raz, dziecko!

— Jeszcze jedno pytanie, tatusiu. Czem mole żywiły się w raju?

Idealista

Młody i przystojny panX ma potwornie brzydką, ale zato posażną narzeczoną. Oczywiście, panna ma pewne wątpliwości, co do szczerszych uczuć pana X i nie kryje przed nim swoich poglądów.

— Ty napewno nie kochasz mnie bezinteresownie, — powiada smętnie.

— Powiedz ojcu, żeby dorzucił jeszcze dziesięć tysięcy do posagu, to cię będę kochał bezinteresownie.

W ubezpieczalni

Inspektor bada kwalifikacje personelu jednego z oddziałów ubezpieczalni.

— Cobyś pan uczynił w takim wypadku, zwraca się do urzędnika przyjmującego zgłoszenia ubezpieczonych — gdyby zjawił się chory człowiek niemowa?

— Przedewszystkiem zapytałbym go czy jest ubezpieczony.

W restauracji

— Kelner! podał pan mazagran, a gdzie słomki?

— Państwo raczą łaskawie wybaczyć, chwilowo wszystkie zajęte!

Grzech

Leciwa niewiasta spowiada się:

— Najczęściej grzeszę pychą.

— W jaki sposób?

— Codziennie siadam przed lustrem i podziwiam swoją urodę.

— To nie jest grzech.

— A co?

— Błąd.

W cyrku

— Wspaniali są ci jeźdźcy cyrkowi — mówi w cyrku jeden gość do drugiego, na widok produkcji woltyżerskiej. — Dopiero co trzyma konia za grzbiet, za chwilę już jest mu na brzuchu, w następnej sekundzie znowu łapie go za szyję...

— Wielkie rzeczy — odzywa się drugi — ja robiłem wszystko to samo, gdym pierwszy raz jechał konno...

OGŁOSZENIA DROBNE

PRZEDPŁATA już z odnoszeniem przez pocztę miesięcznie 95 groszy, kwartalnie zł 2,85. Pod opaską miesięcznie zł 1,50, kwartalnie zł 4,50. Zagranicą zł 1,50 miesięcznie. Wrazie wypadków spowodowanych siłą wyższą, przeszkód w zakładzie, strajku lub t. p., wydawnictwo nie odpowiada za dostarczanie pisma, a prenumeratorzy nie mają prawa do odszkodowania.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA Żnin (Wlkp.) ulica Śniadeckich 8

Telefon 32

Rękopisów nie zwraca się.

P. K. O. Nr. 207.393

CENY OGŁOSZEŃ: 1/1 strona 450,- zł, 1/2 str. 225,- zł itd. Wiersz milimetrowy szerok. 31 mm. 25 gr. Drobne ogłoszenia za każdy wyraz 10 gr, dla poszuk. pracy 50 proc. zniżki. Za zastrzeżenie miejsca dolicza się 50 proc. Ogłoszenia przyjmuje się 10 dni przed datą numeru.

Red. nacz. i wydawca: Alfred Ksycki — Red. odpow.: Marja Zemmlerówna — Zakłady Wydawnicze Alfred Ksycki, Żnin.